

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Piotr Bednarski

Czarcie nasienie

Tower Press, Gdańsk 2001

Copyright by Piotr Bednarski

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Na łowisku

Noc, głęboka i ciemna, jak twardy sen. Niebo niskie ze smugami szarych szczelin – z nich lodowaty wiatr i całuny zadymki. Morze ciężkie, ruchome. Tłucze w burty jak grzesznik w piersi. Śpiewa, przeklina, szaleje. Płyne przez czas, przestrzeń, człowieka. Z niego i przez nie – dal bezkresna. Niezglębiona, straszna.

– Pierwszy raz na taką noc, nieszczególnie. Niedobrze ci, wiem. Naciągnij sztormówkę i chodź na rufę. Tam wiatr, fala, raźniej. – Siadaj tu na skrzynce. Zwracasz – to nic, ze mną nie było lepiej. A teraz masz, jedz, wziąłem ze sobą trochę chabaniny, wcinaj. Nie możesz? Musisz, bo żółć wyplujesz – wtedy koniec. Mówisz, że uczyłeś się na księdza, trzy lata. Długo. Zwątpiłeś, mówisz. A ja wierzę. I modlę się czasem. Nie po waszemu, całym sobą. I w ciebie wierzę. Dasz radę. Mówisz, że nie, że jesteś bardzo słaby, niedługo kipniesz. Chcesz, bym ci pomógł. Wszystko jest w tobie. Wszystko w twoim ręku. Nie wierzysz, wiadomo. Ale idź na ryzyko. Nie bój się nikogo, nie ma żadnej śmierci, nigdy. Nie możesz – kłamiesz nie mnie, ale sobie. I będziesz wstydzili się tego. Ech, bracie, bluźnisz, nikt nie jest silniejszy od nas. Tak, tak, synku, trzeba o tym wiedzieć, od urodzenia umierasz. Nie rozśmieszaj mnie. Komulcem cię nie dobiją. A jeśli chcesz, proszę bardzo. Zdychaj, na zdrowie. Powodzenia. Myślisz, że to tak – pach, trach i do widzenia. A kto będzie za ciebie orał morze? Nie wykręcisz się sianem, nie. Rzygasz znowu – to dobrze. A teraz bierz się za żarcie. Nie będziesz? Będziesz, będziesz. Do gardła ci wepchnę, popchnę kołem. I nie zadzieraj ze mną, bo będzie źle.

Zamilkli. Bosman odwrócił się i popatrzył na wschód. Za grubymi zwałami chmur rozniecało się ognisko słońca. Noc ustępowała niechętnie. Chmurna i zła ścigała z morza czarny swój atlas. Woda zajaśniała w oczach, podrosła, spotężniała.

Fale z nieskończoności w nieskończoność, jak potworne owady, przed siebie. I wiatr wstał razem ze słońcem, rozwinął szerzej chłodne skrzydła i zaśpiewał zapamiętałe, głęboko, smutno. Takielunek pobrzękiwał monotonna, fałszował, drażnił.

Szyper słucha prognozy. Ostrzeżenie przed sztormem. Wszystko na nic. Nie pierwszozna, ale szarpie wątrobę i serce.

– Może by tak zrobić jeden hol. Co? – pyta siebie i wgrzyza się w horyzont zmrużonymi, uważnymi i czujnymi oczami. Northeast, kurewski wiatr, nie da robić. A ryba jest tu, na głębinie, daleko od portu. Nie, zima, woda ciężka. Można potopić ludzi. – Podreptał w miejscu, podumał, pogryzł się ze sobą. Żal i złość. Czwarty raz wracać z pustymi rękami. Pasować, nie przegrywać. Ale przyjdzie kolej na niego, pokaże co umie. Splunął, zacisnął pięści, podał kurs do portu. Kuter zatrzeszczał, fala bluźnęła na rufę. Bosman otarł twarz, pokazał morzu mocne zęby w uśmiechu. Młody zaklął, skulił się.

– Bluźnisz, to dobrze, pomaga. Mieszasz z błotem wszystko i wszystkich. Czego żałujesz? Aha, nie spałeś jeszcze z babą. Żal, nie powiem. Ale świat przed tobą. Zaznasz jeszcze tej gorącej męki, tego nieba. A potem zrozumiesz, jak chce się morza. A na morzu jak chce się baby. Och, bracie, jakby w tobie diabeł siedział i warzył zioła. A czujesz się tak, jak czuł się Bóg, gdy był młody. Tak, jak Bóg, gdy miał osiemnaście lat – dodaje z emfazą i mokra, ogromna pięść opada z siłą na kolano młodego. – Każdy musi powiedzieć sobie: Jestem rybak. I, żaden diabeł nie da mu rady. Niech fala tłucze, zalewa, a ty wrastaj w pokład, wtedy spuści z tonu, zawróci, odejdzie. Co? Widzisz siebie, tam, w środku. Taki maleńki i śmieszny. Bzdury, przyjrzyj się dobrze. Ale dość tego, odpocznij trochę. Idziemy z falą, więc marsz do koi. Teraz już zaśniesz w ciepłe, jak kamień...

W porcie bosman obudził młodego, zwichrzył mu włosy i pociągnął za sobą. Poszli do „Morskiej”. Poprosili o kawę, piwo, wódkę. Młody miał dziwnie splątane wrażenia. Był rozdwojony. Jego dawne myśli zmalowały, zatarły się, wypełzły nowe, nieodparte, żarliwe, niepokojące. Wypił kawę, sięgnął po wódkę. Potem przymknął oczy i zobaczył morze, swoje, wielkie, nieskończone.

– Na Boga, domówię się ze sobą, dogadam – powiedział do bosmana i dostrzegł kobiety.

Zachciało mu się krzyczeć, tańczyć, chwycić pierwszą z brzegu, zacałować, zgwałcić, tu, na środku sali, przy wszystkich. Wstał, zachwiał się, upadł. Wydawało mu się, że odpadł od ziemi i zaczął krażyć po wytyczonej przez siebie orbicie.

Bosman ukrył go za kotarą, poklepał, uśmiechnął się i pił dalej z przybyłymi przed chwilą rybusami.

Młody uderzył głową o podłogę, obudził się, wyrwał z mroku. Umył twarz w toalecie, zmoczył głowę. Przysiadł się do bosmana, wypił kawę, przegryzł i znowu sięgnął po wódkę. Raz i drugi. Ogień rozpląnął się po żyłach. Płonął cały i nie mógł wyleźć z tego ognia. Grało w nim i zawodziło. Prawdziwe piekło, ogromne i nęcące. Trzeba je wyśpiewać, wytańczyć, przybliżyć do oczu.

– No i jak? – zapytał bosman.

– A jakoś tam – odrzekł, zaświecił uśmiechem, rozejrzał się.

– Dasz sobie radę.

– Jakoś tam – powtórzył, tak jak mawiał jego ojciec i ruszył przed siebie w muzykę, taniec.

Chwycił w ramiona coś smagłego, drobnego, co było samym rytmem. Tylko oczy bezdenne z błękitem w białkach. Tańczyli, płynęli, wędrowali. Bosman głaskał ich spojrzeniem, tulił.

Noc otrząsała się z chmur. Słabł wiatr. Zimna pustynia nieba zalśniła jak brylant. Po Mlecznej Drodze pędziły gwiazdy. Żarzyły się, płonęły, gasły. I morze oprzytomniało, nie zdzierało już z siebie szat, plotło trzy po trzy, pienilo się z wysiłku. Szklisty księżyc tonął w nim jak szczeniak w przerębli. Dal i mróz, tam, a tu bosman ociera pot, przymyka oczy głuszcą, wywija pięścią.

– To mój syn! – krzyczy z zaciętością – rodzony dzieciak...

– Ejże, twój utonął, pamiętam jak dziś...

– Utonął, a figę – drze się bosman, włosy w nieładzie, oczy w ogniu. – Na księdza się uczył, ale morze, wiesz, mami. Nie uciekniesz od niego, choćby wiem co. I tak cię dopadnie. Choćbyś był królem i tak przybiegniesz. Synusia ty moja – powiedział tkliwie, przygarnął młodego, nalał do kieliszków.

– Pijmy, bracie, wszyscy. Unita! – krzyknął i zaklął przestraszywszy się własnego głosu. – siadaj tu do nas, Cyganicho...

– Czego się drzesz – odcięła się smagłolica i dołączyła do nich. Szczebiotała, przechodziła z rąk do rąk, aż młody znów ją rozpoznał, zacisnął dłoń na jej przegubie, zakleszczył. I nie pamiętał jak godzina trzecia wygasła światła w lokalu, wyrzuciła ich na chłód. Poszedł z Unitą i zapadł w mrok, tam, w jej klitce na poddaszu. Obudził go ranek, mroźny, szklisty. Krew dzwoniła w uszach. Dostrzegł nagi brzuch kobiety. Przyłgął, zaczął całować, całować...

– Czego tam, no idź już do diabła! – i zaczęła dyszeć nierówno, nerwowo.

Cisza, szept, jasność i oczy głębokie, czujne. A za oknem morze, nieruchome, bezbrzeżne, przycajone. Podszedł do okna i patrzył przez nie na swoje odbicie w lustrze. Potem nalał wina, wypił i cisnął szklanką o ziemię.

– Ech, do diabła – powiedział – a ja chciałem zdryfować. A tu tyle tego... wszystkiego...

Kłątwa

W ostatnim holu też nie dostali ryby. Ale to zjawisko normalne, więc nie psioczyli, nie mamrotali pod nosem. Pracowali w milczeniu, zaryglowani w sobie na wszystkie spusty. Tylko oczy wpisywały w swój przestwór nie kończące się zmagania. Mieszały się odcienie przekleństw, błagań, nienawiści. Do cna ich przeżarła ta bezowocna harówka. Wszędzie pusto: w ładowni, w nich, w sieci.

Ryby jak nie było, tak nie ma. Czasem trafi się dobry zaciąg, ale jeden nie przynosi ulgi – podsyca bezsilność. Jeszcze niżej opadają ręce, jeszcze głębiej zapadają w siebie. Ciągłe nic i nic. Wczoraj nic, dzisiaj i jutro nic, od zarania – nic. A może kiedyś – i coś się tam tli, wzbiera jak wrzód.

Rzucili kotwicę i poszli spać. Powłazili do koi. Szukali snu na wszelkie sposoby, po omacku. Sen daje im to, czego pragną. Czego nie może zdobyć ciało, zdobywa duch. Ale sen nie przychodził tak łatwo, a jeśli przychodził to twardy, głęboki i ginący w mroku. I sen, i jawa w przymierzu –przeciwno nim.

Zmierzch snuł coraz ciemniejszą przedzę i podsyczał mrok. Zadyмка gwiezdna wzmagala się, i opadała coraz niżej i sięgała wody. Martwa fala wzięła ją na swój grzbiet, kruszyła i niosła. Morze syciło się gwiazdami i szukało swojej ziemi obiecanej.

Szyper przez trzy godziny siedział w sterówce. Rozognionym wzrokiem wgrzyzał się w kwadraty łowisk. Przeżuwał myśli. Zmarszczki strumieniami spływały po twarzy. Czytał, patrzył, kalkulował na wszystkie możliwe sposoby, ale nic, absolutnie nic nie mógł dojrzeć. Wprostował się, wyciągnięty, leżący na mapie wskazujący palec wrócił do pięści, ręka uniosła się i z siłą opadła na stół. Westchnął ciężko i wyszedł. Usiadł na rufie, zapalił, zwiesił głowę. Od dwóch lat nie szła mu rybałka. Jeszcze w tamtym roku chcieli mu zabrać łajbę. Ktoś tam wybronił. Ale teraz koniec. Nie rozejdzie się po kościach. Przeniosą do rezerwy jak amen w pacierzu. Dawniej szło jak innym, raz lepiej, raz gorzej, a teraz... jasny gwint. A przecież robi, co może, nawet więcej niż może. Bez skutku. Tylko sznurek na szyję...

– Dłużej już tak nie mogę – szepnął. – Czy Ty tego nie rozumiesz – powiedział głośnie i groźnie. Podniósł głowę i płonącymi oczami omiótł wszechświat. – Oczywiście, że nie rozumiesz. Ty jesteś diabeł wie co. Przeklinam Cię. Ja wiem, że chcesz, bym padł na kolana. Korzył się. Niedoczekanie... Każdemu tylko czapkować i czapkować. Uh, nienawidzę... – Wstał, kruchy, samotny w środku świata, rozglądał się w krąg, zgarbił i wrócił do kabiny. Wyciągnął z szafki butelkę koniaku, wlał w siebie ćwierć. Rozluźnił się, zapłonął i zaczął wstydić się swoich słów wypowiedzianych na rufie. A kiedy wypił następną ćwierć, zaczął mieć wyrzuty sumienia, ale nie ukorzył się, nie bił pięściami w pierś. Żłopał tylko koniak. Butelka zaświeciła pustką. Oglądał ją pod światło. Wszystko chwiało się i wirowało. Nic pewnego i stałego, jak w czasie strasznego sztormu. Aby do reszty ukoić swój ból, wstał i sięgając po następną butelkę, potknął się i runął na dywan.

Rano, kiedy słońce otrzepało się z zimnych fal, zerwał się wiatr. Lodowaty i silny. Morze grało. Fale nałożyły baletniczy strój i ruszyły do tańca. Przez okno sterówki patrzył na szatańskie piruety i usiłował przypomnieć sobie minioną noc. Wszystko otaczał mrok. Pamiętał tylko, że zrobił coś niegodnego, że żądał od kogoś tego, czego sam nie może dokonać. I to było najgorsze. Wydało mu się, że utracił prawo do ziemi.

– Co, do portu? Nie da rady robić.

– Do żadnego portu - odrzekł i podał kurs. Ruszyli przed siebie. W sztorm i wiatr. W skłębioną jasność wysokiego i nie kończącego się dnia.

Fala

Dwadzieścia cztery mile przed Anglią otworzyło się przed nimi niebo. Przestronne, porysowane jasnosrebrnymi bruzdami, drżące od zimnych odblasków. Południowo-zachodni skraj horyzontu pociągnęło ciemnym płomieniem. W tym blasku stanęły chmury, jakby krzyczące i pełne niecierpliwości. I stamtąd nadleciał wiatr. Nagły, potężny. Pierwszym podmuchem zagarnął cały przestwór, podporządkował swojemu tchnieniu. Rozrastał się, wciskał we wszystkie szczeliny.

Napełniał zgiełkiem i przerażeniem labirynt chylącego się nad wodami dnia. Biegł razem z morzem w oczekujący mrok. Fale ciskały obelgi, zapadały się w sobie i znów rodziły z odmetów chaosu, coraz większe i bielsze. Sunęły przed siebie – bezlitosne, żarłoczne. Wszystko gnało z wiatrem w dal, w mrok, do diabła... Nikt nie miał siły ani odwagi przeciwstawić się jego woli. Tylko oni stanęli na jego drodze. Małeńka ich krypa nie spasowała, nie wykręciła z wiatrem. Wiedziona ręką człowieka trzeszczała w wiązaniach jak wiklinowy kosz, drżała od nagłych uderzeń fali i wysłuchiwała ponurych prorocत्व żywiołu.

Stary, przywołany na mostek w czasie pierwszego szkwału, siedział wciśnięty w kapitański fotel. Dwie głębokie zmarszczki bieły przez czoło. Zerkał co chwila na kompas, kreska kursowa wykonywała półobroty, odskakując w prawo z trudem wracała na kurs. Ster leżał „lewo na burcie”, kreska kursowa pełzała w prawo coraz wolniej, wreszcie zatrzymywała się i przez dziesięć – piętnaście minut stała w miejscu jak zamurowana, dwadzieścia stopni odchyłona od wykreślonego kursu. Potem z wysiłkiem, milimetr po milimetrze, jakby dźwigała wielki ciężar, ruszała w lewo. Kapitan zerkał na kompas, sternik na kapitana. Był starym matrosem i wiedział, co ich czeka, kiedy łajba nie usłucha steru i nie wróci na kurs. Przy takiej fali zwrot – to czyste szaleństwo.

– Dwa – pięć – pięć – rzekł wreszcie Stary i dym z papierosa otulił jego ostrą twarz – i w prawo nie chodzić.

– Dwieście pięćdziesiąt pięć i w prawo nie chodzić – powtórzył z ulgą sternik i guz kurczu na żołądku rozluźnił się, z myśli strząsnęło się trochę czerni. Zaśpiewał w sobie coś bardzo pięknego, sam nie wiedział, skąd wzięła się ta melodia. Do dnia dzisiejszego pozostało tajemnicą, jakim cudem usłyszał tę pieśń oficer wachtowy. Czuł się źle na fali, słabość zgasiła oczy, strawiła twarz. Miał dość siebie i świata, i nagle jeszcze ta cholerna melodia. Zawrzało w nim, poniosło.

– Zamknij się – warknął. Wywlócił się na skrzydło mostku, wyszarpał z siebie tego potwornego kraba pełzającego do gardła. I wtedy nadbiegła jedna z tych fal, które nie wiadomo skąd się biorą. Nie można ich przewidzieć. Runęła na pokład puchową bielą, sięgnęła po pelengowy mostek. Zaborcza, kłębiąca się kolorami, oszalała od nadmiaru spódnic. Statek zdrzął, przechylił się, wniknął w mrok i czeluść. Przez szyby sterówki przenikała woda, sączyła się jak ze ściany płaczu.

– Serdeczna twoja mać była – zgrzytnął kapitan i rozluźnił palce zakleszczone na poręczy fotela. – Jak wiedźma.

I nagle wstrząsnął nim dreszcz, przypomniał sobie oficera wachtowego. Wybiegł na skrzydło mostku. Zamknął na chwilę oczy. Pokład szalupowy świecił pustką. Po szalupie zostały tylko wspomnienia i pogięte relingi. I w tym poskręcany żelastwie zaplątało się ciało oficera wachtowego. Nie wierząc jeszcze, obmacywał siebie i mamrotał w jakimś niezrozumiałym języku. Kapitan wciągnął go do sterówki, rozebrał, ułożył na kanapie, okrył kożuchem. Wytrzeszczonymi i niewidzącymi oczyma patrzył przed siebie, uległy i pokorny. Liczył coś pod nosem, sumował, kreślił w powietrzu zadziwiające arabeski. Przykładał palec do ust, nasłuchiwał. Potem jego oczy załśniły, obejrzał się za siebie i dostrzegł swój zwielokrotniony cień – jak on poszarpany.

Przyszła zmiana wachty, wymęczona bezsennością, obsesyjnymi myślami, daleko istnienie od istnienia, milcząca. A wraz z nią przyleciała nowa nawałnica. Teraz już wszystko wstąpiło w wicher. Fale rwały się, zachłystywały, przemieniały w zadymkę.

Ale zmiana na sterze nie nastąpiła. Sternik nie był w stanie oderwać się od steru. Stał blady, dziko skupiony, wkleszczony wzrokiem w kompas. Miał w sobie pewność, że nikt oprócz niego nie jest w stanie dogadać się ze statkiem i sztormem. Jeśli stąd odejdzie, zagarnie go morze.

Kapitan zerknął na niego spod oka, ruchem ręki odprawił przybyłą wachtę.

I tak płynęli gubiąc początek i koniec, przez całą wieczność, aż Anglia zlitowała się nad nimi i podpłynęła do ich statku, rozpedziła chmury i zgasiła wiatr. Zeszli wtedy z mostku do swoich kabin i runęli na koje.

Gwiazdy w tym czasie kąpały się w ciemnej wodzie jesiennego nieba i dojrzewając spadały do ich głębokich, kamiennych snów.

Kwiaty

Po trzech miesiącach zawinęli do portu. Dziewięćdziesiąt dni zapisanych koślawym pismem rybackiej mordęgi. Arktyczny rejs. Kry, wiatr i mgła. I chłód. Lodowata woda, bogata i hojna. Setki, tysiące ryb. Sztuka w sztukę. Krew i flaki. I tak bez przerwy, do trzewi... Wybieranie włoka i wydawanie. A snu jak na lekarstwo. Nawet nie snu – gorączkowego majaka na dwie, trzy godziny. Po dwóch miesiącach patrzą wilkiem. Najpierw rażą słowa, potem twarz, dalej reszta. Warczą na siebie, odgryzają się, wreszcie milkną, zamykają się w sobie. Groby nie ludzie. Bronią się przed sobą, uginają, podnoszą. Może za burtę – i spokój. Nie, pokład nie puści. Korab to magnes, ciągnie, mami. Trzeba płynąć razem z nim, do upadłego.

Przez cały czas nie tu on jest, ale tam, za horyzontem... Tam są kwiaty, różnokolorowe, całe naręcza. Widzi je dzień i noc. Przy rybie zerka na siebie jak na obcego, bluzga na żywioł.

Patrzy na ład chciwie, zachłannie. Inni zwyczajnie, a on – oczy przepaście. Wierci się po pokładzie i w sobie. Wreszcie ziemia, gwar ulicy i – niby lżej. Zmierzch, sobota, pośpiech. I on się spieszy, do kwaciarni. Biegnie. I – nie zdążył. Kwiaty pod kluczem. Przypomniał sobie bosmanichę, solidna baba, pomoże. Wali do niej. Ale bosmanichy też nie ma. Utonęła w kanale, jesienią. Najpierw mąż pod Grenlandią, a potem ona tu. Poszła za nim. Zamknął oczy, zawrócił, zgrzytnął zębami. Wstał wypić za jej wieczność, nie spokój, ale wieczność. Wypił za nią i za niego. Trochę ucichło, rozplynęło się po kościach, po świecie. Wziął butelkę, usiadł przy oknie. Patrzył w dal, w siebie i pił. Zobaczyła go dziewczyna.

– Posiedzimy razem?

Skinął głową. A może nie. Potem popatrzył na nią, uśmiechnął się.

– Z morza?

Nie odpowiedział, oczy-dziwo utkwivszy w myślach. Nappełnił kieliszki. Wypili. Patrzył na nią, przez nią. Potem zabębnił palcami po stole, wyciągnął banknot.

– Idź, przynieś kwiatów – powiedział i znów popatrzył przez nią. – Za wszystko. Różnych. Goździków, róż... bratków.

– Kwiaty. Dobrze - zamyśliła się. – Daleko trzeba, za mosty, do ogrodnika.

– Za mosty, daleko. Nie, blisko, jedź.

– Dobrze.

– I nie wracaj bez kwiatów, rozumiesz... Uśmiechnęła się, weszła w mrok i deszcz. Od morza ciągnął wiatr. Szumiały i gięły się drzewa. Nad portem w ciemności krążyły mewy. Gadał przyływ. Morze garbiło się, rosło, daleka boja gasła w przepaściach wody. Płynął zapach wodorostów i śniętej ryby.

Czekał na dziewczynę i pił. Mijały minuty, kwadransy. Kiedy stracił nadzieję – wróciła. Mokra, zdyszana, z naręczem kwiatów.

– Utrapienie z tymi ludźmi – rzekła ze złością – temu to, tamtemu tamto.

Nie słuchał, patrzył na kwiaty jak nawiedzony. Brał w ręce, przytulał do twarzy. Uśmiechnął się. Poszedł przed siebie. Za nim wyszła dziewczyna. Nie widział jej. Było tak cicho... Dziewczyna nie wytrzymała, chwyciła za ramię.

– A ja to drzewo – rzekła cicho, gniewnie. – Jak wariat biegam, a on tak mi odplaca. Co mu tam ja – szarpnęła go za rękę, przyciągnęła do siebie. Kwiaty wysliznęły się, rozsypały po jezdni. Popatrzył na nie, na dziewczynę i ogromny świat zachwiał się, zawalił. Odepchnął ją Dowłókl się z trudem do ławki, usiadł, zgarbił się, zasłonił dłońmi twarz. Dziewczyna pozbierała kwiaty i usiadła obok niego. Potem przytuliła się. Siedzieli tak do rana, użyczając sobie ciepła, a porzucone kwiaty to wędły w ich oczach, to znów rozkwitały...

Sztorm

Martwa fala szła już od rana, ale mało to sztormów tłucze się po świecie. Tylko Kuba zerkał podejrzliwie na niebo i marszczył brwi. Prawdę mówiąc i nam się to niebo nie podobało.

Do najbliższego portu były trzy godziny drogi, lecz Stary wziął kurs na Blath: sześć godzin – pod falę dziesięć. Nikomu nie było to w smak, ale na morzu Stary jest bogiem i kropka.

Ja jeden wiedziałem, dlaczego Stary żeglujecie do Blath. Napalił się tam na jedną dziwkę. Pochodziła z Walii, ale przepadała za szkockimi pieśniami. Poznaliśmy ją u Mac Donalda. Maureen siedziała w kącie i patrzyła w okno, kiedy odwróciła się – Stary zwariował. Posłał po butelkę i dziewczynę. Ale ona była już umówiona. Pozostało jutro. Przyszła wieczorem. Stary patrzył na nią i milczał jak grób. Potem łamaną angielszczyzną powiedział, że chce ją stąd zabrać do siebie, do kraju. Był dziobaty, niekształtny, ale matros jakich mało. Maureen nie patrzyła na niego, ale poprzez niego na siebie i obraz ten nie był ciekawy. Zabębniła palcami, powiedziała, że pomyśli, a następnym razem odpowie. Może sądziła, że to ostatni rejs.

Stary zamknął się w sobie i stanął na czatach. I nie czekał długo. Po tygodniu przyszedł sztorm A po dwóch godzinach piekło. Woda połączyła się z niebem. Jęk, świst, szum. I ta piekielna muzyka. Kuter drżał jak liść topoli, ale nie zbaczał z kursu. Była to drewniana łajba, posłuszne, uczciwe bydlę.

Po godzinie „dziadek” wytlukł w sterówce okno. Fala wdarła się do środka. I wtedy do sterówki zajrzał Kuba.

– Oj, coś mi się widzi, że koniec.

– Diabła tam – odrzekł Stary.

– Oj, coś mi się widzi...

– Nie mędz – Stary nie odwracając się zepchnął Kubę do mesy, a ja zamknąłem drzwi na klucz. Zatkaną okno materacem.

I tak płynęliśmy, sterując na zmianę. Wszystko straciło znaczenie, tylko to jedno olbrzymiało – dopłynąć do Blath. I dobrnęliśmy – na przekór niebu czy piekłu. Nikt do tego portu nie wszedł na takiej fali, a nam się to udało. Patrzyli na nas jak na wariatów i pukali się w czoło.

Stary przywołał Kubę do sterówki, klepnął w ramię, uśmiechnął się.

– I jakoś tam daliśmy sobie radę, co? I coś mi się widzi, nie potopiliśmy się. A teraz ty ten cały bajzel – wskazał ręką na pokład – doprowadzisz do ład. Zapalił fajkę, cmoknął i po ciągnął mnie ze sobą.

Kiedy kończyliśmy butelkę, dostrzegłem Maureen wychodzącą z drugiej sali. Za nią włókł się Don Kichot. Wyskoczyłem za nimi i dopadłem na rogu. Złapałem za mankiet.

– Przez ciebie przeżyliśmy piekło, a ty sobie gwizdziesz na to, co?

– Ano, gwizdżę...

– Morze zostawcie diabłu, to robota dla niego – krzyknął Don Kichot i przekrzywił głowę.

– Diabłu zostawcie morze. Boże jedyny – zamknąłem mu japę, zachwiał się i zniknął za rogiem.

Wziąłem Maureen za rękę i przyprowadziłem do Starego. Usiadła obok niego, pocałowała, a potem zaczęła kłąć...

Kapitański bal

Od rana siedział w kajucie i patrzył w bulaj. Mięsień na szczęce poruszał się. Ścisnął w palcach nóżkę kieliszka. Alkohol nie smakował. Dawniej pijąc koniak widział wysokie i błękitne niebo Francji, rozległe dale i winne grona prężące się w promieniach słońca. Te czasy minęły.

Już trzeci dzień wiał mroźny north. Sztorm dusił ziemię, targał morze. Fale grzmiały. Statek skrzypiał przy nabrzeżu, zawodził. Chmury coraz niżej wlokły frędzle szarych chust. Wszystko rwało się, drżało, lecz nie poddawało. Nie poddawała się również staruszka leżąca w starej chacie na Podkarpaciu. Byli już doktor i ksiądz, i każdy z nich postawił krzyżyk, a ona żyła jak na złość. Dwa podpłomyki chłopskich dłoni leżały na bieli płótna. Twarz była już martwa, żyły tylko oczy. Nie mogła się ruszać, lecz nie było jej słabo, tylko tak źle, że miała ochotę urągać wszystkim po kolei. I urągała bezgłośnie i Bogu, i diabłu, i rodowi ludzkiemu. Potem targało ją sumienie, wracała do modlitwy i bliźnich. Myślała o synu, który włóczył się po jakichś tam morzach, rozległych jak niebo z gwiazdami, i od paru lat nie był już w domu. Mówił, że zarabia krocie, lecz nigdy nie śmierdział groszem, przeciekał mu przez palce jak ta jego woda. Ale teraz nie myślała już o nim. Chciało jej się tylko pić, ale i pragnienie minęło. Zrobiło się rozległe, zniknęły wszystkie drzwi i ściany, nie było już śmierci, tylko szeroka i jasna droga.

Patrzył w bulaj. Czuł się źle, jak zwykle w czasie sztormu w portowym zaciszu. Kochał sztormy tam, na morzu. Stojąc przy sterze i wgryzając się nogami w chwiejny pokład, odwałwał wachtę za wszystkich i zapominał o wszystkim. Istniał tylko on – i statek. I jeszcze jakaś złowróżebna siła. To ona budziła w nim moc. Nie było takiej świętości, która zmusiłaby go do pokory i kłęski.

Wypił jeszcze jeden kieliszek, powiódł uważnie wzrokiem po grzbietach książek, a chmura papierosowego dymu zawisła nad nim jak kołpak...

W pobliskiej knajpie Kirgiz – pierwszy oficer – chłął z dwoma dziewczynami. Pili wino, a potem wszystko po kolei. Ręce ich płonęły, splatały się, garnęły do siebie. Sigrid kiwała rozwi-chrzoną głową i płakała gorącymi łzami.

– Koniec ze mną – mamrotała – kropka. Miałam iść do lekarza, ale bałam się tego kata. Jesz-cze tylko z tobą, a jutro kamień do szyi, Jestem uczciwa i nie plotę trzy po trzy...

– Zrobi to – rzekła druga – znam ją. Ech, głupia, to głupia. A ja tego nie zrobię. Jak mi się przytrafi, wybuduję dom na wrzosowiskach i kupię dziesięć kotów...

– Tak, trzeba żyć rozsądnie – powtarzał w kółko Kirgiz i nagle przypomniał sobie swojego kapitana, patrzącego od rana w bulaj, i poczerwieniał z radości.

– Hajda, za mną! – krzyknął. – Na kapitański bal. Przecież on tam siedzi jak derwisz na Synaju.

– Bierz wino!

– I koniak, i rum...

Ale kapitana nie było już w kajucie. Stał na mostku i wodził palcem po mapie, omiatał wzrokiem morze i niebo. Wachtowy wywiesił na flaglinie „Błękitnego Piotrusia” i pobiegł za bosmanem wyciągać załogę z pobliskich kafejek i knajp.

Dziewczyny usiadły na polerach i zarechotały.

– Ale bal – rżały – kapitański. Na pełnym morzu.

Mroźny wiatr wtórował im na wantach.

Wigilia

W kółko, ciągle w kółko. Wydają się i wybierają. Od kiedy, nie pamięta. Nie było początku, nie będzie końca. A ryby coraz więcej, i wiatru, i szarugi. I jego. Szczególnie w oczach – mrocznych, przepastnych. I w myślach. Ale morza najwięcej. Zalewa wszystko. Ziemię, statki, ludzi. Jest we krwi, kościach. Żre solą. Nie uwolnisz się od niego za żadne skarby. Przemieni w siebie, zabije swoim istnieniem. On nie chce tego. Trwa przy swoim.

Dzień niski, chwiejny, szary. Zimny kapuśniaczek. Przeźroczytymi palcami wiatr szarpie morze. Korab zatacza się, skrzypi, drży. Jak nawiedzony bije pokłony. W lewo, w prawo, spojrzenie w niebo, upadek i chłosta za zuchwalstwo – fala kąśliwa, ciężka jak ołów. Dosięga ludzi, kulą się, nie przerywają pracy. Patroszą dorsze. Żółte sztormowe chałaty zbryzgane krwią. Na rękach też krew i na twarzy. Krew wszędzie i bryzga nadal. Teraz z jego palca. Zachwiał się i skaleczył. Popatrzył na krew i czerwień zajęła mu oczy. Ból wzbudził gniew. Zbladł i zaklął.

– Wypatroszyłbym - mruknął po chwili – i wyrzucił w diabły Własnymi zębami bym zagryzł.

– Kogo?

– Tę kurewską wodę. Morze i morze, od pieluszki morze.

– Daj spokój, przez głupi palec. Idź, zrób z nim porządek. Damy radę bez ciebie. Niewiele tego zostało. Dzisiaj Wigilia, bądź człowiekiem.

– Człowiekiem, człowiekiem! – krzyknął i rozejrzał się dziko. – A czym ja jestem?

– Przynajmniej dzisiaj bądźmy ludźmi – rzekł znowu spokojnie starszy rybak, jakby nie słyszał jego słów.

Cisnął nóż, poszedł do siebie. Umył rękę, nie mógł znaleźć jodyny, zalał ranę spirytusem. Usiadł, zamyślił się, znowu zabluznił. Nie mógł oderwać wzroku od butelki ze spirytusem. Wziął ją do ręki. Obejrzał pod światło. Ze złością chlusnął płyn do szklanki, dolał wody i zamykając oczy wypił do dna, odsapnął w zaciśniętą pięść raz i drugi. Nie zrobiło się lżej. Zrzucił cuchnące ciuchy, włożył czyste ubranie, zawiązał krawat. Poszedł na górę do kapitana.

– Kapitanie – powiedział i drgnął od własnego głosu. – Dzisiaj Wigilia, a co pan z nami wyprawia. Czy nie za dużo tego dobrego. Co? Niczego tu nie ma, nawet tej gwiazdy na niebie...

– A czego ty chcesz?

– Czego ja chcę?! – krzyknął i zamachał rękami. – I pan nie wie czego ja chcę? Trochę ciszy, odrobiny błękitu.

– Nie ma i nie będzie.

– Nie będzie, powiadasz – sapnął. – Nigdy – zacisnął pięści, postąpił naprzód. Pociemniało w oczach. Stracił panowanie nad sobą. Kapitan uchylił się, wykręcił mu ręce, posadził w fotelu, przytrzymał, uspokoił, wlał w usta kieliszek brandy.

– Teraz powiedz, czego chcesz?

– Już niczego nie chcę – szepnął. – Zawsze mam wszystko. I piątek, i świątek.

– No, to masz, wypij jeszcze jednego i idź spać. A wieczorem przyjdź do mesy. Podzielimy się opłatkiem. A ryba idzie jak najęta – dodał wesoło. – I warta jest tego grzechu...

Nocą

Zdał o północy wachtę przy sterze, wypalił dwa papierosy, a sen nie nadchodził. Tam, w górze, na rozległej pustyni nieba płonęło beduińskie ognisko księżycy. Jego zimne światło płynęło jak wieczność i nie dawało spokoju tej kruchej cząsteczce zwanej sercem.

Leżał z otwartymi oczami i śnił na jawie. Było mu lekko, przestronnie, jakby widział bramy rajy. Rozległy wiosenny dzień rozpiął nad nim swój błękitny namiot. Klangor żurawi niósł daleko zawile tony. Nad polami płonęły smugi światła. Jakaś wewnętrzna potrzeba wyrzuciła z niego ciężkie przekleństwo. Wylazł z koi i wyszedł. Udał się na swoje ulubione miejsce – pokład szalupowy.

Morze łuszczyło się srebrem, odwracało stronice łagodnych fal i zapamiętywało się. Samotna gwiazda wisiała na wschodzie i jej zielone światło nie mogło zgasnąć od milionów lat. Granica między morzem i niebem zatarła się, wszystko stało się wielką szklaną kulą. Tę jedność zakłócał ludzki głos.

Bosman należał do wymierającego gatunku wielkoludów o rozległych barach, z kościstą twarzą ociosaną niewprawną jeszcze ręką stwórcy. Oczy płonęły niewyblakłym turkusem. Miał pięćdziesiąt lat, ale na równi z młodymi włóczył się po wszystkich knajpach. Pił niewiele, nie tańczył, tylko wnikliwie wpatrywał się w twarze.

Siedział teraz po turecku, a sęki dłoni wrzynały się w kolana. Mamrotał:

– No, odezwij się, powiedz, gdzie jesteś. Jakże to tak... Milczysz... Chryste ty mój nieznany, ileż to lat już szukam ciebie. Zobaczyłem cię u Mac Donalda... Przez dwie noce żeglowaliśmy po tych swoich morzach. Powiedziałaś, że wszystko załatwimy po drugim rejsie. A ja głupi uwierzyłem. I wyfrunęła sikoreczka...

Przetarł twarz otwartą dłonią. Pochylona głowa uniosła się, a szyja naprężyła jak ciało węża w cyrkowym numerze. Patrzył przed siebie skamieniałym wzrokiem.

– Nie miałbym ci za złe, że byłaś kurwą. O nie... Niech mnie Bóg skaże, jeśli łżę. Ani słowa bym nie pisał. – Zaciśnięty bochen pięści dotknął piersi. – Bo czy ja jestem święty? Grzechów na mnie jak rzepów na bezdomnym psie. Co ja wyprawiałem przed spotkaniem ciebie – strach pomyśleć. I co się później działo... Człowiek bez grzechu, to, po prawdzie, jakby nie człowiek. Ale widzisz, tylko ciebie zatrzymałem. Siedzisz we mnie i nie sposób ciebie wyrwać. Myślisz, że nie próbowałem? A jakże... Na wszystkie sposoby. I tak, i siak. A ty się nawet nie przyśniesz. Dlaczego?... Tak mi jakoś markotnie, patrzę w bulaj jak w mogilną jamę. A ty nic. I mnie już niedługo pływania, parę lat i hajda na grzyby. Gdybym wiedział, że umarłaś, byłoby lżej. Było, minęło, i ja tam przyjdę. Może tam też miesięczek świeci... I byłoby o'key. A tak... Ech!... – Uderzył pięścią w pokład. Kącikiem oka dostrzegł odbity przez księżycowe światło, lekki i zwiewny cień.

– Kto tam, do diabła?

– A tam?...

– Czemu się pętasz po nocy – rzekł ze złością i wyrzutem.

– Bezsenność morduje, bosmanie. Trafiłby to grom.

– Aha, mnie też – podniósł swoją ogromną postać, otrząsnął się jak wielbłąd po śnie, i kleszcze twardych palców zacisnęły się na rękę tamtego. – Chodź do mnie.

W kajucie napełnił szklanki whisky, podsunął piwo. Pili w milczeniu, oparli głowy na rękach i patrząc na siebie tak, jak patrzą łagodne zwierzęta należące do innego gatunku. Obydwum było ciasno pod tym ogromnym parasolem świata...

Blinda

Ile dni siedział wśród zwojów lin? Pięć, sześć, a może całą wieczność? Przywykł już do ciemności i mieszaniny zapachów. Drzemał, kiedy wstał dzień. Zerwał się i wyskoczył na pokład. Zapatrzył się, zobaczył, jak płynie czas. Uśmiechając się zaczął go zwijać w balot. Czynił to tak, jak układa się słomiak wyciągany z wody. Potem zastygł jak świeca... I stał tak nieruchomy, wzrok utkwivszy w niewidzialnym punkcie.

Statek przewalał się z boku na bok, drżał od dotyku fali. Z ciemnych i niskich chmur wybiegał wiatr, zimny, przenikliwy. A morze jak skrawek ludzkiego marzenia – bezdenne i bezbrzeżne. A niebo – odbicie morza. Na zachodzie słońce, a może czyjeś ognisko, rozlane w chmurach. Nad korabiem chlipią mewy.

Stefan siedzi na zrębie luku, zgarbiony i nagle osiwiwały, z głębokimi zmarszczkami.

– Blinda! – krzyknął sternik zoczywszy go z mostku. – Na prawej burcie.

Oficer wachtowy podbiegł do okna, długo przyglądał się siedzącemu, gryzł krótki, rudy wąs, mrużył oczy. Poznał, uśmiechnął się. I znowu zamyślił. O nim, siedzącym. Pięć lat bez urlopu siedział na wodzie. Wysłali go na wypoczynek, bo chwilami dostawał obłędu. Nie pojechał. On też by tak zrobił. Obłęd – a może właśnie to, czego się pragnie. I gdzie jest mrok – tu, czy tam?

Podszedł do tuby. Odezwał się kapitan, głos miał senny, głuchy, zły.

– Kapitanie, bosman Stefan na pokładzie.

– Bosman Stefan? - zawiesił głos, potem wybuchnął. – Sobacza mać! A jak on tam, spokojnie?

– Wiadoma rzecz...

– Pogadaj z nim. Ja później.

– W porządku – odpowiedział i wyszedł na skrzydło mostku. Wychylił się, krzyknął. – Bosmanie, za piętnaście minut wybieramy!

Bosman odwrócił się, uśmiechnął, popatrzył na wodę, naciągnął sztormówki.

Wyszła reszta załogi. Wielkie oczy. Bosman Stefan! Skąd? Klepali po ramionach, żartowali.

– Znowu z nami.

– Tu przynajmniej robota...

Poszły w ruch stalówki i bębny. Morze lekko zasepione, fala łagodna, przyjazna, nie wrywa sieci, mruczy przy burcie. I ryby jak manny. Szare niebo, szare morze, a na pokładzie jasność. Trzepot serc. Ręce i oczy, oczy i ręce. Śledzi płynie ławicą. I brak czasu na sen, posiłek.

– Ale rok – szepcze urzeczony bosman. – Jak w raj.

– Bosman przyniósł szczęście, bo szło jak z kamienia. Nie bój się, staniemy za tobą w razie czego.

– Nie boję się. Jak mnie zaborą, to tak czy siak ucieknę. Morze to mój dom.

Nie uprzątnęli jeszcze ryby z pierwszego holu, a już drugi sypnął zamiecią. Szron łusek rozplywa się. Gubią się już w tym srebrnym czarze. Coraz mniej przestrzeni dla nich, ale co tam. Oni mają, czego chcieli. A nigdy nie są syci. Nie liczą niczego: mamony, kropli potu, bezsennych nocy. Wszystko mija jak sen. Ważne jest tylko to, co przed nimi. I bagrują wody dzień i noc. I tylko ciała nie nadążają.

Kiedy minęły dzień i noc, i znowu z jesiennych chmur wykrzesał się dzień, a razem ze słońcem ruszył wiatr, ostry, zimowy i wściekły, zaczęli zakleszczać się w sobie, kłać i warczeć...

W nawigacyjnej kapitan znęcał się nad radiem. Nie mógł połączyć się z bazą. Nie wiedział, co zrobić z blindą. A bosman gwizdał już na losy świata. Żył teraz jak dawniej. Łączył siebie z morzem i widział tak dużo, że nieraz to wszystko plątało się z sobą. Nie mogąc chwilami z tego wybrnąć, gubił swoje granice, czerwieniał z wysiłku i zaczynał mówić o rzeczach najzupełniej oderwanych.

Konstelacja Perseusza

Sztorm nie trwał długo, całego kramu trzy dni, ale miał specyficzną cechę – zostawał w człowieku. Pędził co tchu, by nagle zawrócić, jeszcze szerzej rozwinąć skrzydła, wybuchnąć falą obelg i przekleństw, potem w mgnieniu oka zniknąć, przemienić się w zmorę senną. Nastroszyli się, każdy krył się przed samym sobą. Ale schować się nie było gdzie. Do lądu daleko. Wokół nich – morze i niebo. Gwiazdy odbite w morzu, statki w żywiole nieba. Oni i tu, i tam. Tu jesienne chłody, mgła i fala. I bez przerwy ryba i ryba. Płynąca jak czas. Od krańca jawy do krańca snu. Koszmar. Te same twarze, kształty, kolory... A tam nieskończoność... I nagle zgrzyt zębami: ciągle te cholerne wody, do grobowe, deski...

Od trzech dni kapitan zaczął siwieć. Wiądl w oczach i wiódl nie kończący się dialog. Podzielił się na wiele osób i z każdą z osobna pertraktował namiętnie i bez skutku. Zadziwiający to był korowód. Wszystko w jego wnętrzu było skłócone, dzikie. Odbywała się tam walka tytanów.

Pioruny, trzęsienia ziemi, potopy. Wszystkie żywioły zderzały się z sobą, rozsypywały wracały do stanu pierwotnego. Potem, nagle, nastał okres ciszy, głębokiej zadumy. Zmarszczki na twarzy ułożyły się w zadziwiające wzory.

Poruszał się cichutko jak polujący kot. Kreślił zdumiewające kursy. Kiedy zidentyfikował konstelację Perseusza – zastygł. Potem rozjaśnił się, pełen skupienia i wewnętrznej pewności. Już nie walczył, nie szalał, lecz płynął jak Kolumb. Żeglował do konstelacji Perseusza. Tam zacznie się rybałka, życie na całego. Przystanie babrać się w tej drobnicy. Pozatyka wszystkim gardła i oczy. Przesną wieszać na nim psy. Złapie rybę i sam osobiście wciągnie na pokład. A teraz niech ludzie odpoczną, czeka ich harówka nie lada...

– Anker do wody. Maszyny stop! – krzyknął. – Dwanaście godzin snu, ani minuty więcej. Zmieniamy łowisko – dodał niedbale i uśmiechnął się. Nalana twarz wypiękniła na chwilę.

– Nic lepszego nie znajdziemy. Nie trzeba budzić licha.

– Trzeba – dodał twardo i wyprosił wszystkich z mostku. Wychodził na skrzydło, zerkał na niebo, zegarek, niecierpliwił się. Bezruch go drażnił, chodził coraz szybciej, dzwoniąca krew przesłoniła oczy. Kiedy opadł mrok, zobaczył siebie siedzącego w fotelu. Ruszył ku tej wizji.

– Daleko do tego Perseusza – szepnął – ale popłyniemy. To będzie rejsik. Wrócimy. Na ziemię zawsze się wraca. Ale nie wrócić byłoby lepiej. Mieć wszystko za sobą – to dopiero radość. Bo jaka pociecha z tej naszej mordegi? No jaka?! – krzyknął, zaświecił oczyma, wyrzucił ręce i zaczął sam siebie okładać pięściami. – Gra w ciemno, gra...

Tamten, w fotelu, wstał – zimny, pewny siebie, złapał za gardło i zaciągnął do nawigacyjnej. Zdzielił na odlew, wcisnął w kanapę i okrył snem.

Kiedy obudził się, wszystko było znowu takie, jakie jest, szare, niewyraźne, doprowadzające do szału, jak ten tajemniczy błysk z konstelacji Perseusza.

Wybrali kotwicę i znowu zaczęli bagrować te odludne i zimne wody.

Spotkanie

W przedziałach było dużo miejsca, ale pozostał na korytarzu. Była noc i podróżni spali, nie chciał im przeszkadzać. Z natury nieśmiały, czuł się dobrze w pustym korytarzu. Nucił z nawyku ulubioną piosenkę, palił, rozmyślał... Było mu lekko, przestronnie. Miał dwa miesiące urlopu. A teraz jesień, sztorm za sztormem, a najgorsze - nie ma ryby. Od miesiąca z holu pięć, dziesięć skrzynek. I to drobnicy. Przez to zeżarł pół wątroby. Bywały chwile, że gotów był bagrować nawet piekło. I teraz o tym myślał, ale już nie tak, jak tam, na łowisku.

Na polnej stacyjce wagon zatrzymał się naprzeciwko latarni. Światło zalało przedział. Przez szczelinę w zasłonie dostrzegł zarys znajomej twarzy. Przyjrzał się uważniej. Tak, niewątpliwie, to Kułaga. Ten orli nos...

Otworzył drzwi przedziału.

– Roma, Roma - zawołał cicho. – Roma – powtórzył – to ty?

Tamten obudził się, przetarł oczy, rozejrzał się, zatrzymał wzrok na Pawle, zmarszczył czoło.

– Ano, ja – odrzekł.

– Nie poznajesz? Byliśmy razem na galerze u Madeja. Drewniana krypa, solidna, To była robota, co? Przyszedłeś wiosną, pamiętam. Harówka na okrągło, ręce długie jak u goryli. I ryby jak gwiazd na niebie. Ale spotkanie... Dobrze, że światło wpadło do przedziału. Trzeba by to oblać, skoczę do restauracyjnego, coś tam dostanę.

Roman wstał i zapalił światło. Twarz miał zaspaną, ceglastą i dziobatą. Poprawił krawat, wygładził spodnie. Sięgnął na półkę.

– Nie trzeba, ja mam.

Wyciągnął z walizki Sterna, firmowe szklaneczki, czekoladę.

Stuknęli się szkłem, wypili, popatrzeni na siebie.

– Mineło pięć lat. Jak ten czas leci. Niby niedużo, a jednak szmat czasu. Znałeś Franka Skarpę? Umarł, bracie, na serce. Zasnął przy stoliku – i na wieki. Przedtem Leon Stachurski w basenie portowym. Nawet nagrobków nie mają. Kupa ziemi na grobie. Co za czasy. A jakie matrosy. I nas to czeka, jechał to sęk. I nas zapomną. – Zamilkł, popatrzył w okno, ciemność otulała świat, gwizdał wiatr, gwiazdy przedzierały się przez niskie chmury. – Ale co ja tak na smutno. Aż wstyd. Wybacz. Powiedz, co u ciebie? Takiś elegant teraz. Złoto na palcach...

– Po staremu. Pływam teraz w handlowej To nie rybalka. Odwalisz wachtę i masz spokój Żadna tam szarpanina. Nie mam nawet sztormówki ani gumowych butów. Jak trochę fali, nie wychodzi się na pokład. Rozumiesz?

Paweł kiwa głową, napełnia szklanki, patrzy uważnie i wnikliwie na mówiącego. Jego błękitne, niewymowne jasne oczy smutnieją. Przechylił szklaneczkę, zagryzł czekoladę.

– A dla nas ten rok, bracie – rzekł cicho, ruchem głowy odrzucił do tyłu włosy i uderzył pięścią w kolano – chudziutki. Siedź się nie pokazał wiosną, latem meduza, a jesienią wiesz, jak jest. Wziąłem urlop i czekam na zimę. Znam jedno miejsce, między kamieniami. Z jednej strony głazy i z drugiej, a środek czysty. Dorsza tam zatrzesienie. Tamtej zimy targalem po dwieście skrzyń.

Wagon skrzypiał, zgrzytał, telepał się. I oni kołysali się razem z nim, na zakrętach przytrzymywali zastawę. Słowa ginęły w tej wrzawie.

Wszedł konduktor, sprawdził bilety.

– Podróżujecie z przyjemnością – rzekł z uśmiechem, wypił podany kieliszek, zapalił, zasalutował i wyszedł.

– No i jak ty żyjesz? – zapytał Roman.

– Jak dawniej. W Domu Rybaka mieszkam.

– A ja, bracie, przez ten czas dom wystawiłem, kupiłem samochód i odpowiedni zapasik na czarną godzinę odłożyłem. Żyje się. Szeroki świat. Handelek to świetna rzecz. Trzeba tylko wiedzieć, co kupić i gdzie sprzedać. Pieniądz robi pieniądz. Parę peruczek pod pasek i gra muzyka.

– Pod pasek, dlaczego?

– Przed celnikami, rozumiesz.

– Ciemna sprawa.

– Jaka tam ciemna, normalna rzecz. Nie bądź głupi i chodź do nas. Pomogę ci. Rzuć rybałkę w cholere jasną. Zostaw ją katorżnikom.

– I co ja będę u was robił?

– Też pytanie, to, co ja.

Paweł skrzywił się, potem spojrzał na butelkę. Była pusta.

– A jednak pójdę do restauracyjnego – powiedział i szybko wyszedł.

Bał się, że Roman go zatrzyma. Kupił dwie butelki. Jedną dla siebie, drugą przez konduktora odesłał Romanowi. Nie miał siły wrócić do przedziału. Usiadł w restauracyjnym i pijąc małymi kieliszkami patrzył przez okno w mrok. Był wściekły.

– Rzuć rybałkę w jasną cholere. Chodź do nas – szeptał przedrzeźniając Romana. – Akurat. Będę kramarzem. Niedoczekanie, żebym się chował przed byle falą... I przed kim innym...

Ojciec i syn

Stary podszedł do bufetu, wziął lampkę koniaku i usiadł przy stoliku osłoniętym liśćmi figusa. Kawiarnia była pusta, a on teraz to lubił. Wypił łyk i zastanowił się, jaką drogą pójść. I poszedł drogą słońca. Od urodzenia kołysał się na jego fali, aż skóra pokryła się zmarszczkami. Na morzach dojrzywał wiatr, i płynęły statki białe jak zamieć. Fale rzucały na brzeg swoje włosy. Stękały i powracały, skąd przybyły. Wraz z nimi szumiały muszle i kamienie.

Do kawiarni wszedł młody człowiek. Duży i silny, z zorzą płonąca na policzkach. Poprzez liście dojrzał starego. Wziął butelkę whisky i usiadł przy nim. Nalał do szklanek i podsunął.

– Od samego rana uciekamy – rzekł cicho, przeciągając słowa... – Od samego rana chowamy się, gramy w ciuciubabkę...

– W nic nie gramy – odpowiedział stary i podniósł głowę. Za oknem rósł deszcz, jesienny, zimny. Mewy krążące nad miastem wrzeszczały i mknęły w zamęcie. Karłowate brzozy obwieszały się łzami. Z tych łez wyciekało piękno i nawiedzało oczy. Bolało, drażyło, gasło i wschodziło.

– Unikasz mnie, ale ja ciebie znajdę – wcisnął staruszkowi szklanekę do ręki. – Wypij. Musisz, jesteś moim ojcem.

– Nie zaprzeczam, jestem – i stary wypił do dna.

– Zostawiłeś matkę i mnie i popłynąłeś w świat. Myślisz, że uściskam cię za to, braciszku złoty, nie, ukatrupię... Zostałem matrosem, żeby cię odnaleźć.

Stary milczał, jego duże dłonie obciążone brązową skórą poruszyły się. Dostrzegł nagle nocne wzgórza w wiosennej mgle, pełne gwiazdnych cieni. Tyle lat... Przecież nie on to zrobił. Ale... mgła, czas, przestrzeń. Bezsenne noce, wiatr, ktoś obcy...

– Milczysz. Syn nie syn, krzywdy trzeba liczyć – młody popatrzył na niego, zgrzytnął zębami, kwadratowa broda zastygła. – Stałeś się hardy.

Stary milczał dalej. Patrzył na syna i poprzez niego chciał wrócić do siebie, ale świat stanął między nimi jak wysoki płot. Nie mógł go przeskoczyć.

– Hardy jesteś – powtórzył znowu syn. Zacisnął pięści. – Ale tak nie może zostać. Po ludzku trzeba, no nie? Tak długo ciebie szukałem. Żółć się we mnie warzyła. Ja nie twój wróg, ale nie mogę tego... - złapał ojca za kłapy i przytrzymał. Puścił. – Nie mogę – szepnął – ale szmata ze mnie. Cisnął butelkę i zaczął się tłuc z barmanem.

Na półwyspie

Mikołaj odprowadził trawler do stoczni i wracając zaczął kombinować, jak tu się wkręcić na jakąś łajbę. Wiedział, że z jego zabiegów wyjdą nici, ale nie tracił nadziei. Szybko znudził się wszystkim, wypisano mu kartę urlopową. Był samotny i nigdy nie korzystał z urlopu. Wypłacano mu równowartość pieniędzy, lub urlop po prostu przepadał, więc teraz czuł się zawiedziony.

– Jestem załatwiony – powiedział i mięśnie na jego twarzy poruszyły się niespokojnie. – Co ja będę robił na tym urlopie?

– Jak to co?... Wypoczywał.

– Nie jestem zmęczony – odrzekł i wyszedł. Wszyscy znajomi byli w morzu. Powędrował trochę po mieście, wstąpił tu i tam, i zaczęła go zalewać krew. Postanowił upijać się codziennie. Wstąpił do kawiarni. Po trzecim koniaku poczuł się raźniej, po dwóch następnych przypomniał sobie ciotkę Tonię, mieszkającą na półwyspie, tam gdzie się urodził.

– Ech, co tam, pojedę – mruknął i wyjechał ostatnim pociągiem.

Ciotka Tonia pracowała sezonowo w kuchni i nie miała dla niego czasu. Historia się powtórzyła. Zaczął zaglądać do kawiarni.

Lipiec był błękitny, czysty i wysoki, morze nieruchome. Plaże wyblakły, piasek stał się sypki i nie skrzypiał pod nogami. Sosnowy las okrył się pyłem. O zmierzchu wykrzesywały się duże, migotliwe gwiazdy. Powietrze było suche, od miesiąca nie spadła kropla deszczu. Od rana skwar lał się z nieba, a na brzegu morza roilo się od ludzi. W kawiarni było cicho, przytulnie i dość chłodno. Lokal świecił pustkami, Mikołaj siedział samotnie i samotnie pił. Czasami przychodził właściciel, klócił się z obsługą i klnąc na interes siadał przy jego stoliku, aby koić troski koniakiem.

Któregoś dnia zajrzała kobieta z dzieckiem, Potem zaczęła przychodzić codziennie, między ósmą a dziewiątą. Siedziała godzinę, przez ten czas wypijała kawę. Jej synek zjadał szybko lody i wędrował do stolika Mikołaja. Miał sześć lat i niespokojną naturę. Zadawał dziwaczne pytania. Mikołaj zmyślał cudy-niewidy, bajdurzył, i znajdował w tym przyjemność. Zaczął odprowadzać ich na plażę.

– A pan nie lubi słońca? – zapytała kiedyś Anna.

– Uciekam przed nim – odrzekł. – Tam, w tropiku, gdzie często bywam, mamy go powyżej uszu.

Przy kamiennym słupku rozstawali się. Z początku wracał do kawiarni i pił dalej, ale zaniechał tego i zaczął wędrować przed siebie. Szedł i rozmyślał o tym i owym, i odnajdował kamień akurat wtedy, gdy wracali z plaży. Odprowadzał kobietę i dziecko do domu. Rozmowy ich stawały się coraz dłuższe i jaśniejsze, nie zawierały już zdawkowych pytań i odpowiedzi.

Wieczorem rozpełtała się burza. Mikołaj po raz pierwszy z takim zainteresowaniem patrzył na rodzące się błyskawice i nie spał całą noc. Nad ranem zdrzemnął się i do kawiarni przyszedł trochę później. Cekał. Zamierzał właśnie dziś powiedzieć coś ważnego, ale Anna jak na złość nie przychodziła.

– Ta pani już była – powiedziała kelnerka. – Przyjechał po nią mąż. Przybiegła zobaczyć pana i nie zastała...

Anna mieszkała naprzeciwko. Przez otwarte okno zobaczył mężczyznę krzątającego się przy samochodzie. Coś tam dokręcał, dolewał, czyścił. Mikołaj patrzył na niego uważnie i przenikliwie. Kiedy Anna wyszła z domu, stał już przed kawiarnią i zaciskał dłonie na metalowym ogrodzeniu. Kręciło mu się w głowie, jak po silnym uderzeniu. Popatrzyła na niego długo, uważnie, a potem szybko wsiadła do samochodu.

– Odjechała – mruknął, kiedy samochód zniknął za zakrętem. – Zabrał ją, kanalia. I co ja teraz będę robił tam... na oceanie... bez niej! Rozluźnił uścisk, wrócił do kawiarni.

Synowie marnotrawni

– Dokąd bogi prowadzą? – Staruszek był schludny, malutki, smutny. Tylko oczy miał duże, błękitne, jakby nie swoje.

Wielkolud rozplótł dłonie, uśmiechnął się ufnie, po dziecinnemu.

– Syn marnotrawny wraca do domu – rzekł dobrodusznie. Zdjął z półki torbę podróżną, wyjął butelkę Bardineta, dwie szklanki i paczkę krakersów. – Strzelim po jednym. Za spotkanie.

Starzec zaprzeczył głową.

– Serce wysiada. Ledwie, ledwie się tam telepie.

– Smutna sprawa... Ale po jednym... Biorę to na siebie...

Staruszkowi podobał się ten młody, duży mężczyzna. Patrzył na niego z przyjemnością. Wstyd mu było odmówić.

– Dobrze, ale niewiele – dotknął szklanki tuż przy samym dnie.

Wielkolud uśmiechnął się, nalał ćwierć, a sobie pół szklanki, popatrzył na płyn pod światło, kiwnął głową i wypił do dna.

– Ech, łobuzy – szepnął stary z emfazą – jechał was ciort. Pić to umiecie. Jak smoki. – Zacisnął palce na szklance, zamknął oczy i wypił tak szybko jak wielkolud. Skrzywił się, ścisnął gardło i wytarł łzy. – Dawno nie piłem.

Wielkolud nalał znowu tak jak poprzednio – pół i ćwierć szklanki. I znowu popatrzył na koniak pod światło. Staruszek położył ręce na sercu.

– To szaleństwo – powiedział. – Takie tempo.

– Na drugą stopę. Koniecznie. Inaczej będziemy tego... Inwalidzi.

– Było nie było – szepnął stary. – Raz kozie śmierć...

– Jasne – odrzekł wielkolud. – Inaczej nie można. I oszukać nie idzie.

Wypili, popatrzyli w okno, potem na siebie i roześmiali się.

– Ze świata jedziesz, do matki?

– Z Atlantyku. Przez pół roku oraliśmy morze. W piątek i świątek. Jak skazańcy. Niech to krew zaleje.

Staruszek poweselał, maki zakwitły na policzkach, chabry w oczach. Lekkie włosy rozwiały się zafalowały.

– Mój Boże, poklnij sobie! Najlepiej po rosyjsku. Oni zaraz dobierają się do Boga. Aż radość bierze...

Pociąg wjechał na oświetlony peron bez dachu. Stary włożył okulary i wyjrzał przez okno. Deszcz niesiony wiatrem zalewał grube szkła i zacierał kontury.

Usiadł, przyglądał zwichrzone włosy. Twarz stała się zuchwała, zadziorna.

– Pierwszy raz w życiu ominę dom - powiedział radośnie. – Jedziemy do powiatu! Przebradziałym całą noc. Nalej no, synku, jeszcze po jednym.

Wielkolud sięgnął po nową butelkę. Nalał i podał staremu. Tamten stuknął szklanką o ciemne szkło i mrugnął. Ale nie wypił jednym haustem, smakując przymykał oczy, zagryzał wargi.

– Dobry, cholera – powiedział po chwili. – Wiadomo, Francja. Pompadour.

Wielkolud patrzył na staruszkę z przyjemnością. Przypominał mu ojca. Też był taki drobny, niepozorny, zapalczywy. Odszedł od matki, kiedy miał dziesięć lat. Nie czuł do niego urazy. Bardzo często nawiedzał jego sny.

– Daj, pocałuję ciebie, ojczulku – powiedział czule.

– Dobrze. I ja ciebie uściskam.

– Jeszcze raz!

– A teraz po głębszym!

– Za tych co na morzu!

Stary promieniał. Kręciło mu się w głowie.

– Marynarze! – krzyczał i tłukł wielkoluda w rękę. – Ciasno wam wszędzie. Dusicie się na ziemi, sokoły. I ja chciałem być matrosem. Ale się bałem. Jak Boga Kocham, mówię prawdę!

– Bałeś się – z niedowierzaniem mruczał wielkolud trzepocząc swoimi długimi, mechatymi rżęsami.

– Ale koniec z tym. Teraz mogę pluć każdemu w twarz i dać po gębie. Koniec... Na oceany...

– Rozkaz. Na oceany – powtórzył wielkolud, wstał i zaszutował.

– Teraz pijemy! – krzyknął i zmusił marynarza, aby usiadł. – W nocy będziemy tańczyć, a rano pojedę do Klimowa. Zabiję, jak amen w pacierzu! I dom padną. Do fundamentów zniszczę. Och, jak tu mam pusto, aż wyć się chce. Pusto... – Staruszek rwał na piersi koszulę i płakał. Łzy były wielkie, ciepłe, kojące.

– Zabiję i na oceany – szepnął jeszcze raz, przytulił się do wielkoluda i zasnął.

Przez niedomknięte okno zaczął deszcz. Wiatr hulał po przedziale. W ciemnej głębi nocy gubiły się światła. Na ich miejsce zapalały się nowe, było ich coraz więcej, pulsowały coraz mocniej, aż zwyciężyły noc. Pociąg zwolnił bieg, zagwizdał, zakołysał się na zwrotnicach. Drgnął i zatrzymał się. Była to stacja, na której miał wysiąść stary. Wielkolud podrapał się w głowę, zarzucił śpiącego na plecy i wyszedł na korytarz. Postać tam chwilę, machnął ręką i wrócił do przedziału. Zdjął mu buty i okrył kurtką.

– Śpij. A jutro, jak będziesz skamlał za domem, skuję ci mordę – powiedział groźnie. Rozpiął koszulę i tak jak stary uderzył się w pierś.

– Pusto, och jak pusto! – krzyknął, przedrzeźniając go. – A u mnie to co, przelewa się...

Rozmowa z księżycem

Siedział w otwartych drzwiach na drewnianym zydłu i rozmawiał z księżycem. Chudy, z długą brodą wyciekającą z drobnej twarzy. Pod nastroszonymi brwiami ogniska oczu.

Księżyc wisiał nad morzem i kowany w miedzi łańcuch jego światła rwał się na falach. Z przybojem dotarł do brzegu i po kamiennych głazach wspiał się do jego sadyby – odrapanej sterówki zerwanej z rybackiego kutra.

Przez pewien czas mieszkała z nim kobieta, ale odeszła tak samo niespodziewanie, jak przybyła. Potem pojawił się szczur. Przywędrował nocą i zamieszkał za drewnianym przepierzeniem, obok żelaznego piecyka. Szczur był miłszy od kobiety, niczego nie żądał. A najważniejsze - nie spał w nocy. Po zapadnięciu zmierzchu wyłaził ze swego domostwa, siadał obok niego i cierpliwie słuchał. Ale i on odszedł w swoim czasie.

– Pamiętasz, jak straciłem „Stellę”? – mówił teraz do księżycy. – Robiłem co mogłem, nie udało się, wysiadł silnik. A fale lały i lały, i grzmiały jak lawiny. Zaciąłem się w sobie, przysięgłem łajbie, że jeśli na dno, to razem.

Stało się inaczej. Oprzytomniałem na plaży z kołem sterowym w dłoniach. Doszedłem do siebie po tygodniu. Następne dwa piłem, bo chciałem umrzeć. Potem kupiłem nową łajbę, większą, pełnopokładową. Wziąłem chłopca do pomocy. Nie szło mi to rybaczenie. Ledwo wiązałem koniec z końcem. W pół roku później łódkę i chłopaka diabli wzięli. Ja znowu ocalałem. Morze nie chciało mnie. Od samego początku uwzięło się na mnie. Ale ja jestem uparty jak ono. Plułem żółcią i krwią, wypruwałem z siebie flaki, ale ani kroku do tyłu. I ono także. Nie wiem czego chce ode mnie. Chcę wyrwać z niego tylko rybę. Wiem, że to jest mi potrzebne, a do czego – diabli wiedzą.

W trzeciej łodzi zagnał mnie sztorm na drugi brzeg morza. Cztery dni wytrzymałem w tej diabelskiej kołysance. Usnąłem przy rumplu, nagle jakby mnie grom trafił. I chyba ze mną usnęło morze. Obudzili mnie marynarze straży przybrzeżnej. Powiedzieli, że miałem cholerne szczęście. Ten sztorm zjadł dużo statków. Popatrzyłem na łódź. Nic nie było w niej całe. Drzazgi i strzępy. Szła na dno w moich oczach, siłą zabrali mnie z niej. Nie chciałem tego. Darłem się, tłukłem i gryzłem. Przekląłem Wszystko. W szpitalu leżałem długo, nawet nie wiem ile... Wreszcie zamieszkałem tu, na tym wzgórzu. I zaprzyjaźniłem się z tobą. I nawet ty nie wiesz, że od tygodni napada mnie gorączka.

Tylko oczy zamknę, już widzę ławicę dorszy. Gdzie się obejrzę, już mnie nachodzą.

Żerują na tym łowisku za Mewim Dziobem. Wśród nich jest jeden taki szczególny, wielgachny. Wierci dziurę w brzuchu. Nie ma rady muszę go złapać. Inaczej nie da mi spokoju. Nic ma takiej ryby, jakiej się szuka. Ale zanim się spostrzeżesz, jest już za późno. Muszę się spieszyć, tyle czasu straciłem. Ale wierzę, że dam radę. Jak jest ryba, musi się znaleźć haczyk. Jeśli tylko jest. Jeśli ją złapię, zasnę spokojnie. Żeby nie kusić zła, zniszczę wszystko, co mam abym nie miał do czego wracać. Nikt nie me tego za dużo, a szczególnie ja – sięgnął po blaszankę z benzyną, chlusnął na podłogę i ściany i podpalił. Stał chwilę, odwrócił się i odszedł.

Szedł w kierunku portu i widział, jak na nocnym niebie kołyszą się maszty rybackich łodzi.

Psia wachta

– Dlaczego stawiasz wólczędze?

Nie odpowiedział. Głowę otuloną srebrem włosów oparł na zewnętrznym zgięciu dłoni. Kolor oczu stał się ciemniejszy.

Siedzieli przy wysokim oknie z witrażową ramą. Kawiarnię otaczał park. Drzewa stały pod śniegiem, a szreń była błękitna. Łód okrywał pnie drzew i dolne części konarów, które, jeśli wiał wiatr, trzeszczały jak wysuszone kości. Ale dzisiaj niebo było wysokie i błękitne, a zachodzące słońce wróżyło gwiezdną i mroźną noc.

– Żeby herbatę, ale koniak...

Niedostrzegalny uśmiech zarysował się w kącikach ust i nie zmienił wyrazu twarzy. Tylko pionowa zmarszczka na czole wypełniła się cieniem i pogłębiła.

– Dla niego to bimber. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Uczepiłeś się jak niemy prawa. Koniak i koniak. Sam nie pijesz i drugiemu żałujesz.

– Pytałem tylko.

– Ciągłe pytacie nie o to, co trzeba. A ty w swoim życiu chociaż raz się upiłeś?

– Do czego zmierzasz?

– Tak sobie...

Byli to bracia – Erwin i Paweł. Obaj na emeryturze. Nie widzieli się dziesięć lat. Pisali do siebie rzadko. Paweł wracając z sanatorium wstąpił do brata z ciekawości. Nie zastał go w domu. Sąsiadka powiedziała, że całe dnie spędza w kawiarni.

Milczeli, patrzyli w okno. Kiedy zmierzch napełnił kawiarnię mrokiem i zabłysły światła, uśmiechnął się do siebie.

– Wpadłbyś do mnie w góry – odezwał się Paweł i zatarł dłonie, jakby je objął mróz. – Wiesz, jak tam jest zimą.

– Dobrze, przyjadę.

Wiedział, że nigdy się tam nie wybierze, do końca życia zostanie w tym mieście. Razem z wólczędzą.

– No cóż, na mnie czas. Za dwadzieścia minut pociąg. Nie odprowadzaj. Nie lubię pożegnań.

Wstali, uśmiechnęli się i znowu usiedli. Tak czynili ich rodzice przed podróżą.

Kiedy Paweł wyszedł, Erwin przywołał kelnera i zamówił jeszcze jedną kolejkę – dla siebie i dla wólczędzi. Alkohol o tej porze nie działał na niego, wyciągnął książkę i czytał do zamknięcia lokalu.

Z kawiarni wyszedł ostatni. Przed bramą jego domu czekał wólczędza. Weszli razem.

Chorowali na bezsenność i przez całe noce grali w szachy. Kiedy gra ich znużyła, wychodzili na balkon i patrzyli na gwiezdne nieba.

Gdy padał deszcz, wędrowali wzrokiem za strugami wody. Kiedyś byli marynarzami. Nigdy nie przypuszczali, że na koniec wypadnie im pełnić „psie wachty”. Gdyby wiedzieli, pewnie pożeglowaliby na inne morza...

Biały klipser

Pił dużo, ale nie upijał się. Siedział zawsze w kącie, plecami do ściany i patrzył w okno. W jego wysokiej, przeraźliwie chudej postaci dogasał siedemdziesiąty rok życia.

Od miesiąca zaczął zaglądać do kawiarni. Trzy lata wytrzymał bez pracy, potem zaczął się męczyć. Dumał i dumał. Zaczął włóczyć się po bezkresach swego istnienia. Gdzie się nie ruszył – przepaść. Do tego diabli przypięli bezsenność. Chciał wrócić do pływania. Ale kto będzie zawracał sobie głowę staruchem. Nie pomogły żadne argumenty. W gorączce skłął wszystkich i posłał, gdzie pieprz rośnie, po drodze kupił teczkę wódki i zamknął się w domu. Przez trzy dni pił na umór, rozprawiał się z meblami, kłócił do upadłego. Przez ten czas osiwił do reszty i postarzał się.

Do kawiarni przychodził z samego rana. Tego dnia spóźnił się, ale był uśmiechnięty i w marynarskim mundurze. Zażądał całej butelki koniaku.

– Nie podam, nie można – powiedziała kelnerka z uśmiechem. – Pan za dużo pije.

– Smakuje mi. Nie wypilem widać swego. Podaj.

– Kieliszek, najwyżej dwa.

– Nie, całą butelkę. Mam prawo wypić. – Przybliżył się do niej, zniżył głos. – Czekam na mustrowanie, dostanę piękny statek. – Przyłożył palec do ust... – Ale o tym sza, to między nami.

– Jeśli tak, to owszem. – Polubiła tego staruszka i cieszyła się, że mu się powiodło. Była młoda, smukła, w jej dużych oczach pełno było nieba. I w tym błękicie zapłonął koniak podany na stół. Dostrzegł to i pokraśniał z radości.

– Wypij ze mną jednego.

– Dobrze, ale odrobinę, za pomyślność.

– Jeśli za to, to przynajmniej kieliszek. Za oknem lśnił kryształ zimowego dnia. Niebo coraz wyżej podnosiło wyblakły swój błękit. Słońce spływało ze śnieżnych kołpaków drzew, toczyło się po ulicach. Tylko morze szare, nieruchome. Pętały się po nim dalekie, zwiewne mgły.

– Z naszej żeglugi ten statek? – zapytała kelnerka, odstawiając kieliszek.

– Nie, nie z naszej – odrzekł śpiewnie i przetarł twarz. – On czeka na mnie tam. – Wskazał głową horyzont. – Jest już gotowy. Tu chcieli mi dać stary kalosz, grata nadającego się na złom. A harowałem u nich prawie pięćdziesiąt lat. Nie pamiętają, ile im ryb na targalem. Teraz utnę im nosa. Nie masz pojęcia, dziewczyno, co to za statek – poczerwieniał, zapalił się, oczy drgnęły niespokojnie. – Cudo klipser, bielutki jak śnieg. Cały z łukowego drzewa, żagle jak anielskie skrzydła. A co za załoga... Ze świecą lepszej nie znajdziesz. Chłop w chłopu. Dlatego piję. Myślisz, że smakuje mi to świństwo. Absolutnie. Ale jak łyknę sobie, to czas szybciej leci. Ani się obejrzyysz, a już dnia nie ma. A mnie się śpieszy, sama rozumiesz, statek gotowy, a kapitana nie ma...

Kelnerka nie wysłuchała do końca. Odeszła obsłużyć wycieczkę. Staruszek nie zauważył jej odejścia, mówił dalej, uśmiechał się, zacierał ręce i pił. Przez godzinę opróżnił całą butelkę. Potem otulił twarz rękami, przytulił się do stołu i zasnął. We śnie przekroczył próg.

Kiedy sanitariusze wynosili go z kawiarni, kelnerka zakryła twarz dłońmi. I w tej właśnie chwili dostrzegła biały klipser. Zrobił zwrot przez dziób i zniknął. A fala, która dosięgła jej oczu, nie uspokoiła się już nigdy...

W kawiarni

Borys pił trzy dni pod rząd i dlatego czwartego dnia pomylił lokal. Zamiast do restauracji, wszedł do kawiarni. Był rozwichrzony. Zerknął w prawo i w lewo i dostrzegłszy twarz średnio-wiecznego mnicha, rozjaśnił się. Był to Aleks, oficer z jego statku. W bieli jego twarzy ostro rysowały się kości policzkowe. Garbaty nos sterczał jak umęczony wielbłąd na pustyni. W oczach pętała się bezsenność.

– A cóż to, szanowny Al tak sobie na boczku? – rzekł głośniejszym niż zamierzał i pokiwał palcem.
– W kawiarence sobie siedzisz i bąki nosem puszczasz. A myśmy już, bracie, pół świata przepili.

– Jakie tam bąki, siadaj – Aleks otulił twarz kościstymi palcami.

Podeszła kelnerka, zielony kolor sukni opinał jej postać i błyskał w źrenicach.

– Butelkę koniaku – powiedział Aleks, chmurny, posępny, daleki.

– W butelkach nie podajemy, w kieliszkach.

– Poproszę dwadzieścia... i dwie kawy. Borys łyknął kawy Alka i westchnął. Milczeli dopóty, dopóki kelnerka nie zastawiła stołu kieliszkami. Ustawiła je na jednej połowie stołu w grenadier-skim szpalerze. Koniak opięty cienkim szkłem nawoływał, mamił swoją muzyką i płonął jak płonie słońce w pogodny i rozległy sierpniowy dzień.

– Łykniemy po jednym.

– Nie, ja od razu dwa – rzekł skwapliwie Borys.

Wypili, westchnęli i popatrzyli na siebie. Ciepło wlewało się w ich ciała, szło coraz większą falą. Pozwolili się jej unosić, a przez okno widzieli morze łuszczące się srebrem. Ogromny błękit nieba wisiał nad nimi jak beduińska chlamida. Borys czuł, że znowu wschodzi w nim dzień pełen zieleni. Aleks wypił jeszcze jeden kieliszek. Jego duże oczy załśniły i powoli znieruchomiały. Głowa zawisała nad stołem jak nieznana planeta.

– Mówiąc szczerze, to nic... – powiedział nagle Aleks i zacisnął palce. – Było i nie ma, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Wiesz, wychodziłem w morze, byłem pijany i powiedziałem, żeby robiła jak uważa. Wiesz, jak to jest. No i zrobiła, niech ją szlag trafi - zamilkł, zagryzł wargi i wypił jeszcze jednego. – Wszystko się we mnie rozsypało. Był człowiek, kapujesz... I nie ma. A tam, na morzu, tak trudno pokonać siebie...

Rzeźwy wiatr od morza zerknął przez okno. Firanki wydeły się jak żagle. Mieli wrażenie, że znajdują się na pokładzie karaweli i płyną przez nieznanne wody, niepewni siebie i jutrzejszego dnia.

List z Halifaxu

Nie chciał pić, zasłaniał się sercem. Przycisnął łapę do piersi.

– Nie pozwala.

– Jeśli boli, dobrze, pożyczysz długo – powiedział Adam. – Z sercem zawsze na odwrót...

Obaj byli kapitanami i nie widzieli się prawie trzy lata. W innym czasie zawijali do portu. W morzu bagrowali inne łowiska. Trzy lata, tylko parę rejsów. Bywa gorzej.

– Karmazyna targałeś?

– Tak – odparł Murza. – Przez pierwszy miesiąc szło jak krew z nosa. Ryby jak na lekarstwo. Potem poprawiło się. Ale złote czasy minęły. Pamiętasz, jak pływaliśmy razem? To były żniwa.

– I na jakich statkach! Wierzyć się nie chce. W tym rejsie jeden z pokładu dostał kręcka. Przybiegł do mnie w nocy w kalesonach, zmierzwiiony i potargany. Łzy w oczach. Trzy dni siedział w moim salonie...

W tym momencie Murza usłyszał, jak ktoś przy sąsiednim stoliku powiedział: „Anna Kurbska też tak umarła. Tydzień temu”. Ta wieść wstrząsnęła nim. Zamilkł, skulił się w sobie. Podniósł rękę, przywołał kelnerkę.

– Butelkę koniaku – wydusił i zagryzł wargi.

– I jak się skończyło? – zapytał po chwili Adam.

– Przeszło mu – odrzekł i podniósł napełnioną koniakówkę. – Podziękujmy Francuzom za ten napój.

Siedzieli przy oknie. W szyby tłuł ukośny deszcz. Wiatr targał z wściekłością jesienne chmury. Mewy uciekły z morza. Biały ich całun wisiał nad rybacką bazą. Morze śpiewało.

– U mnie rok temu bosman nie wytrzymał – Adam wypił z lubością łyk trunku i odetchnął głęboko. – Wpadł do nawigacyjnej i zaczął grzebać w książkach. Wyciągnął almanach nautyczny i powiedział, że jeżeli jeszcze raz zabierzemy mu Biblię, szpikulec będzie w robocie...

Nie słuchał tego, co mówił Adam. Patrzył w okno i snuł dumki. Anna. Czym był dla niej? W ciągu trzydziestu lat wypili tylko parę kaw. Dlaczego nie związała się z nikim? Całe jej życie było oczekiwaniem. Niczego od niego nie żądała, słuchała tego, co opowiadał jak urzeczona, i odchodziła. Byli w jej życiu mężczyźni, mówiła o tym bez skrępowania. Nie kochała ich, ani oni jej. Odchodzili tak, jak przyszli. Czego szukali w niej? Czego szukała w nich? Był okres, że zapomniała o nim. Opamiętała się i znowu zaczęła chodzić nad morze. Pisała nawet listy nie wysyłając ich. Czytał je później. Otwierała się przed nim.

W ostatnim rejsie bunkrowali w Halifaxie, wysłał stamtąd do niej list. Napisał, że najwyższy czas, by zamieszkali razem. Wkrótce przejdzie na emeryturę. Dlaczego to napisał, sam nie wiedział. Musiał zasypać czarną jamę przed sobą, którą widział od miesiąca. I zasypał, niech to nagła krew zaleje. Bała się utracić oczekiwanie. Umiała pracować i czekać. Czekanie na niego kończyło się. Jego wina, że napisał ten list. Palnął głupstwo, cholerne, nie do naprawienia.

Do stolika przysiadł się szturman z jego statku. Młody, z hiszpańskim wąsikiem. Jego ruchliwa, pięknie wymodelowana twarz z pałającą czernią oczu zatrzymywała każdy wzrok. We wszystko co robił, wkładał serce. Nawet bluźnierstwa, które ciskał, miały w sobie iskrę poezji.

Adam podsunął mu kieliszek.

– No cóż, kapitanie, wypijmy, za ten nasz rejs – błysnął uśmiechem, podniósł szkło – zjadł nam trochę żółci, ale nie był najgorszy.

Murza popatrzył na niego, potarł czoło. Ucieszył się. Lubił tego człowieka. Nosił w sobie słońce. A w rybackich rejsach to równowartość ryby.

– Tak, uczcijmy to.

Szturman rozjarzył się po koniaku, chwycił strzęp melodii, zanucił pod nosem i zaczął opowiadać Adamowi o rozbitkach, kanadyjskich rybakach. Uratowali ich w ostatniej chwili. Zaczął od tego momentu, kiedy ocalony kucharz zaczął bluźnić na świętego Patryka, nazywał go asfalcia-rzem, tam, w niebieskim królestwie.

Do Murzy wróciła znowu Anna. Nie dawała spokoju. Widział ją. A więc nie potrzebowała go. Do diabła, dlaczego nie wpadł na to. A może potrzebowała go w młodości, później przekształciło się to w czort wie co? Ale co go gryzie: jej śmierć, czy zawód jaki go spotkał? Czuł, że coś się w nim skurczyło. Więc został sam. Zdziwił się tym. Przecież samotny był przez całe życie. Pragnął samotności. Ale była to samotność innego rodzaju. I znowu przypomniał sobie list wysłany z Halifaxu. Gdyby nie ten list...

– A kapitan coś nie w sosie. – Był to głos szturmana. – Coś tam gryzie?

– Gryzie – odrzekł i chciał im opowiedzieć całą historię o Annie, ale rozmyślił się. – Zamierzałem przejść na emeryturę po tym rejsie – powiedział tylko i uśmiechnął się – ale chyba do tego nie dojdzie.

– Pewnie, że nie. Morza nie można porzucić – szturman zmarszczył brwi. – Obojętnie jakie ono jest. Szczególnie dotyczy to nas, rybaków. Marynarze nie odczuwają tego tak głęboko. Oni nie łowią, tylko pływają. A ty, jeśli uda ci się zagarnąć wór ryby, czujesz, że to, co robiłeś przedtem, zdało się na coś. I choćbyś zdychał, masz chęć do dalszej harówki.

– Nie bądź księdzem – przerwał Adam – lepiej pijmy.

– Pewnie, że lepiej pić – uśmiechnął się szturman. – Ale powiedz, czy to nie radość trafić na ławicę? A potem czerpie się to srebro, sypie na pokład i jest się zdziwionym, kiedy się to skończy.

Murza patrzy na niego urzeczonymi oczami i przyznaje rację. Ryba, niech ją szlag trafi. Mami i mami, ciągnie coraz dalej. Na koniec świata. Wszystko inne jest drobnostką. Nim też zawładnęła ryba. I Anna. A czy Anna przypadkiem nie była jego rybą? Jasne, że tak. I ona to zrozumiała. A wszystko, co myślał o niej przedtem, jest błagą. Tak, była rybą, ale nie taką, jakiej chciał. A może taka powinna być ryba. Ciągle odpływa, jest coraz dalej. A wszystko przez głupi list z Halifaxu. Gdyby nie ten list.

Murza wypił do dna i nalał znowu.

– Pijmy, tyle naszego na ziemi – rzekł smutnie i podniósł kieliszek.

Niebo nad głową

Nie lubił Morza Północnego. Dwa razy tonął w tych ponurych wodach. Zmarszczki na czole, szron na skroniach, dwie blizny na ciele – na żołądku i w pachwinie – były dziełem morza. Pierwsza to pamiątka po wejściu na mieliznę w Skagerraku w czasie jesiennego sztormu. Tam poczuł swoją bezradność, splot słoneczny przemienił się w guz, po godzinie pękł wrzód na żołądku. Jedną nogą był na tamtym świecie. W pachwinie – kanał La Manche. Nie zdołał skryć się przed falą. Dosięgła go swoją białą łapą, przygarnęła i z odrazą cisnęła precz. Zatrzymał się pod przeciwległą burtą. Do dnia dzisiejszego nie wie, o co zahaczył. Kiedy odwrócił się, ubranie miał rozcięte, z brzucha, jak otwierający się spadochron, wyłaziły flaki. Patrzył na nie zdziwionym wzrokiem, a one rosły i rosły, aż przesłoniły świat.

Nie cierpiał Morza Północnego, lecz znów musiał po nim żeglować. Bał się go jak dzieci ciemnego lasu. Po paru rejsach uspokoił się, weszło wewnętrzne słoneczko. Sypiał snem sprawiedliwego. Nie zrywał go każdy przechył, nie przecierał oczu zerkając w bulaj. Wstawała jego gwiazda.

Była zima, mroczne sztormy goniły siebie. Płynął przez te obłądne korowody i nie widział kresu.

O szesnastej zdał wachtę. Dokoła jeżył się mrok, niskie chmury wlokły ze sobą śnieżne zamiecie. North kłuł zimnymi podmuchami. Morze budziło się, zgarbione podpływało pod kadłub, stękało i z gniewem odpływało w mrok. Statek załadowany drzewem powyżej burt był miękki jak kołyska. W przechyłach tulił do wody swoje wysokie, błękitne burty.

Rano port, po północy pilot. Szybko wturlał się do swojej odwiecznej górnej koi, postękał i usnął. Obudził się leżąc na szocie. Dlaczego tu? Zrozumiał. Zaczął się szamotać, serce łomotało. Statek leżał na burcie i nie wstawał. Zaczęła się wieczność sekund, potem minut. Każde umiowanie jest wiecznością. Przeraził go ten ogrom. Śmierć stała się nagle odrażająca, jak głęboki dół.

– Nie! – krzyknął.

Kiedy statek podniósł się nieco, usłyszał sygnał alarmu szalupowego. Długi, szereg krótkich,

długi, szereg krótkich, jak sentencja ciężkiego wyroku.

– A niech to nagła krew zaleje – szepnął i jakaś dzika siła wyrzuciła go z koi. Naciągnął ciuchy, złapał pas ratunkowy. Chwytnąjąc się występów, wdrapał się na mostek. Załoga tuliła się do okien, oczy wgryzały się w oświetlona pokład. Tarcica przesunęła się na prawą burtę, ciągnęła do wody.

Stanął obok sternika i dostrzegł falę lecącą z nieba. Serce zamarło, jeśli nakryje – koniec. Ale nie nakryła, przeszła łagodnie. Wszystkie fale nadbiegały z nieba, wielkie i zasepione. Jedna z nich to jego śmierć. Poczul chłód, naciągnął kozuch wachtowy. Z trudem dowlókl się na skrzydło mostku, wcisnął w kąt. Namacał w kieszeni nóż. Ucieszył się. W razie czego... Lepsze to niż skok za burtę. Woda lodowata, trzy minuty i - na strych, do Piotra. Ale dlaczego tak pragnie żyć? Taka chciwość nieludzka, nieustępliwa. „Ktokolwiek jesteś nade mną, oszczędź mnie” – przedrzeźniał sam siebie. Ogarnęła go złość. Nie będzie płazem. Zrzucił kozuch i pas ratunkowy, chwycił za topór, ruszył na pokład. – Mam serce, nogi – mruczał zgrzytając zębami – i wolę. Nieprzymuszoną...

Na czworakach pełził po śliskich i ruchomych pakietach. Lodowate bryzgi fal smagały po twarzy, spływały za kołnierz. Ręce i nogi natrafiały na każdy występ. Nie odczuwał bólu. Musi dotrzeć do prawej burty, na platformę z windą, obok masztu. Tam widział złamaną sztycę. Zerwie bandówki na pakiecie i deski zsuną się do morza. Ale tak się nie stało, nie zsunęły się same. Każdą musiał brać w ręce i ciskać za burtę. Pozostałe pakiety trzymały stalówki. Trzeba było rąbać. I rąbał. Nie widział niczego, prócz tych szarych stalowych smug. Przeklinał siebie, Boga, rodzoną matkę, nadbiegające fale.

– Żyjcicie mnie! – krzyczał, nie wiedział czy na głos, czy tylko w myślach, ale darł się – może was szlag trafi! I ty, Wielki i Nienasycony, chapnij swoją część! A ja toporem, toporem...

Stalówki ustąpiły, pakiety zsunęły się powoli i jeden za drugim, jak nagie, zeszywniałe zwłoki, spływały za burtę. Zdażył uskoczyć, objął zgrabiałymi palcami włącznik windy renerowej. Podciągnął się i ciemność legła na oczy.

– Nie dam rady – myślał – kipnę. Grzechy by liczyć. Świecą w oczach jak gwiazdy. Nie będę liczył. Moją rzeczą jest żyć. Spróbuj jeszcze raz się podnieść.

Kłęknał. Fala chlusnęła raz i drugi. Opadła ciemna zasłona. Nie uchylał się. Chłód przyrósł do ciała skorupą. Zbłąkane serce wróciło na swoje miejsce. Wstał i ruszył przed siebie, do sterówki. Na środku ładowni przechył zbił go z nóg, przylgnął do mokrych desek i jak ze szklanej góry zjechał za burtę. Nikt nie dostrzegł, jak następna fala podrzuciła go na swoim grzbiecie i przewalając się przez statek, zostawiła obok masztu, przy windach.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył błękit. Usta miał zwęglone i rozbite, więc uśmiechnął się kolorem oczu.

– Niebo nad głową. Niebo błękitne – szepnął i zaczął podnosić przeniknięte mrozem ciało, w którym tliło się ognisko jego życia. Z trudem wypełził ze swojej szczeliny. Pokład wydał mu się rozległą pustynią poprzecinaną diunami, a on ofiarą jej bezlitosnego słońca.

– A myśmy już wieczne odpoczywanie zmówili za ciebie! – krzyknął ze skrzydła mostku oficer wachtowy. – A ty, patrzcie, zmartwychwstałeś.

Nie słyszał, jak ślepiec dotarł do swojej kabiny, na stole znalazł butelkę, przybliżył do ust. Opróżnił do połowy i jak kłoda zwałił się na koję.

– A myśmy wieczne odpoczywanie zmówili za niego – powtórzył na mostku oficer wachtowy i pokiwał głową.

Karaluch

Pół roku siedział w rezerwie. Nie miał siły dłużej czekać. Zgodził się na ten rejs. Teraz może pluć tylko na siebie. Odwykł od takiego rybaczenia. Od zimnych i szarych wód. Chodził zawsze na Afrykę, a tu słońca jak na lekarstwo. Bez ustanku chwiejba i mgła. I kumpel z kabiny niewydarzony. Gęba, że tylko tłuc komulcem.

Nie można zamienić słowa. Albo milczy, albo klnie. Na łądzie dałby mu w pysk, ale statek rzecz święta. Łapy trzyma się przy medalach. Chciał zmienić kabinę. Poszedł do chiefa. Tamten uśmiechnął się, klepnął po ramieniu, rozłożył ręce.

– Przywykniesz – powiedział. – W piekle będzie gorzej. A nic nas innego nie czeka.

– Nie mówię, że niebo – odrzekł. – Nie dla psa kielbasa.

– No widzisz. Potem będzie ci lżej. Nie chcę drzeć kotów przez ciebie. Co innego mam w głowie.

– Koja – najmiłsza rzecz na statku, ale teraz wracał do niej jak do karceru. Coraz dłużej przesiadywał w mesie. Chyba że walił się z nóg. I coraz częściej tak było. Ryba szła jak najęta. Nie schodzili prawie z pokładu. Wszyscy sarkali, on się cieszył. Wolał być tu niż w kabinie. Ryba jest zawsze rybą. Ręce spuchły i zsiniały. Nie zwracał uwagi. Za długo siedział na łądzie. Odwykł. Przechodził to nieraz. Za parę tygodni dojdzie do normy.

Szczęście nie trwa długo, szczególnie rybackie. Ryba odeszła czort wie gdzie. Po prostu zniknęła jak kamfora. Wyrzucanie i wybieranie włoka. W worku garstka rybiego chwastu. Sieć za burtę i do koi. I on już wlażył z ochotą. Czekał na niego karaluch. Wypatrzył go w szczelinie. Tylko jednego. Patrzyli na siebie przez parę dni i przywykli. Zaczął go podkarmiać. Rozmawiał z nim przez długie godziny. Nieraz, przez zapomnienie, mówił na głos. Kumpel wychylał się z koi, zerkał podejrzliwie. I wyszedł.

– Karalucha hodujesz – rzekł z gniewem. – Na statku. Zatlucz go, albo ja go zabiję.

Nie odpowiedział. Zaczął nosić go z sobą. W pudełku po zapalkach. Przy jego piersi było mu ciepło. I jemu grzało serce. Gwizdał teraz na wszystko. Czuł radość.

Pewnego dnia karaluch znikł. Nie zastał go w pudełku. Uciekł. Zostawił go samego. Ból i żal. Zamknął oczy. Po chwili przypomniał sobie chytry uśmieszek kumpla. I koszulę wiszącą na gwoździu razem z pudełkiem. Wykradł, sukinsyn.

– Bydlę – wykrztusił i wcisnął ręce w kieszenie. –Zatlukę, jak ty jego.

Kumpel zarechotał, wlażył do koi i zasunął zasłonę.

Wiedział, że kumpel boi się silnych sztormów. Wysiada. Zaczął modlić się o sztorm. Prosił ciałem i duszą. Przywoływał gwizdaniem. Drapał pazurem maszt. Wyprosił. Przyszedł nagle z norteastu. Z trudem wytargali sieć. Zagrzała pełna dycha. Wiedźmowata, z zagonem wodnych kołtunów. Bryzgi – ołowiana śrucina. Taniec świętego Gwidona. Zaczęli sztormować. Pod falę. W górę i dół – niebo i piekło. Gwizd, skrzyp, trzask. Koniec świata.

Kumpel oblókł się w szarość. Zwiądnął w oczach. Ślepie powiększyły się, zaszły krwią. Nie mógł leżeć w koi. Przemieniał się w robaka. Pełzał z kąta w kąt. Nie rzygał, ale pluł. Żółtą i gęstą śliną. Często wychodził na pokład. Wciskał się w szczeliny. I stamtąd zabrała go fala. Znikł jak karaluch z pudełka.

Nienawidził go, ale poczuł się tak beznadziejnie, jakby mu ktoś na miejsce serca włożył duży głaz.

Dancing

Zasypiał o świcie, a kiedy się budził, czuł się lepiej. A dzisiaj... Wszystko w nim było zimne i jakby z ołowiu. Nie odczuwał bólu, tylko przerażającą ciszę. Męczył się tak do wieczora. Potem zrozumiał, że teraz z tego już się nie wyliże. Zaklął. Szczerniała twarz, zaostrome kości policzkowe, zaognione oczy.

– Dasza, Daszeńka! – krzyknął. – Hejże tam...

– Co znowu?

– Daj no kieliszek koniaku.

– O rany, przecież wiesz...

– Wiem, dawaj. I sobie też.

Oczy Daszy zwięzły się, błysnęła dziko tasiemkami czerni.

Koniak był jedynym alkoholem, za którym przepadał. Mógł sobie odmówić wiele – tego napoju

nigdy. Ale i koniak nie smakował jak zwykle. Dopiero trzeci kieliszek ożywił go, rozjarzył, obudził.

Niebo wzdymało się, zarastało chmurami. W parku kłębił się mrok. Złodziejskim szlakiem skradał się zmierzch, otulał wszystko czarną opończę.

Odsunął Daszę od siebie. Ogolił się, ogarnął starannie.

– Pójdę z tobą.

– Nie – odrzekł twardo. – Posiedzisz w domu. A zresztą... chodź.

Wiatr od morza oplótł ich chłodem. Światła ślizgały się po mokrej jezdni. Jesień musowała młodym winem i żółć wyciekała z niej jak żywica z naciętej sosny.

Taksówka zawiozła ich do lokalu. Z hallu zadzwonił do wszystkich znajomych. Prosił, zaklinał. Zlecieli się jak mewy na brzeg przed sztormem. Zsunęli stoliki. W biel obrusów wgryzły się łuski talerzy. W podwójnym szyku złożyły salut butelki. Złapali to wszystko, mieszały jedno z drugim. Poniosło ich przed siebie. Zawładnęli salą. Darli się, tańczyli jak niedźwiedzie na gorącej płycie – bez składu i ładu.

– Pamiętasz, jak tonęliśmy na Morzu Północnym? – bosman szarpał Borysa, miętosił. – Grzała dycha, a my na piaseczku, dwieście metrów od ładu. Ale jakich metrów... Niech to grom strzeli... Fala jak Himalaje. Na morzu piekło, a ty z Hajdukiem w kubryku spirytus złopałeś. Tu koniec świata, a oni sobie spirytusik...

– Masz, trzymaj – oczy bosmana przesłonił kwadrat pleców. Jurek wcisnął Borysowi kieliszek – Pij! Po to nas powołano. Byłem u ciebie bajkokiem. Pamiętasz? Jeździłeś na mnie. I bardzo dobrze. Ale nieraz mam chęć dać ci po gębie – i podsunął rękę pod oczy. Rękę odepchnęła Dasza.

– A ty chciałeś mnie zostawić w domu – zwróciła się do męża i pociągnęła go za sobą na parkiet.

W tańcu uwolnił się od niej, pchnął w ramiona bosmana. Uśmiechnęła się, pogroziła palcem.

Kiedy zniknęli w tłumie tańczących, wyszedł na ulicę. Czuł się coraz słabszy. Uderzył głową o mur, aby nie zemdleć.

– Ale los... A może tak musi być... Może tak trzeba...

Chwiejąc się poszedł nad morze. Stracił przytomność na plaży, w piaszczystym załomie. Na twarzy zastygło mu bolesne zdumienie, jak u kobiety potajemnie rodzącej.

Wachta

Skończyli pracę przed północą, splukali pokład poszli spać. On został na wachcie. Wypił kawę, wypalił papierosa.

Morze spało twardym snem. Umęczone wygładziło zmarszczki. Dokoła kłębił się mrok. Czarna ściana nocy rosła. Nad morzem i nocą – niebo. I miliardy gwiazd. A on sam, czuwający nad snem rybaków. Patrzy w przestrzeń przepastnymi oczami i uśmiecha się. Przez jego źrenice przepływa wszechświat. Galaktyka za galaktyką, rodzą się i znikają. I nagle ścisnęło mu się serce, zatrzymało na chwilę... Otarł pot z czoła, zmarszczył brwi.

– Do diabła – szepnął i wrócił do mesy, zapalił papierosa, starał się myśleć o czymś, ale to się zupełnie nie udawało. Wszystko mieszało się ze sobą, plątało. W końcu stało się tak źle, że tylko wyć. Poczul się beznadziejnie. Miał wrażenie, że wydarło mu wnętrze.

– Ech, żeby tu była jakaś Mania – mruknął i jego twarz drgnęła. Otulił ją dłońmi. Nagle opadły, przecięły szerokość stołu. – Zająłbym się tworzeniem człowieka. Ale tu morze... Sybir ziemi. Mróz. A gdzie nie ma słońca, musi być kobieta.

Wysoka, zgarbiona postać uniosła się, zawładnęła mesą. Od szotu do szotu. Trzy metry w lewo, trzy w prawo. Cała przestrzeń życia. Wyszedł na pokład. Uniósł głowę i znowu przygniotło go niebo. Ciężkie jak grobowa płyta. Usiadł na luku. Wysokie niebo i on tu – skulony, zablakany. Nie pamiętał, kiedy się podniósł. Oczy powiodły go przez pokład, zagnały do kubryku.

– Julek, Julek – usłyszał nagle swój głos i potrząsnął śpiącym. – Wstawaj.

Julek odwrócił się gwałtownie, zamrugał oczyma i znowu zasnął. Okrył kocem głowę, zachrapał.

– Julek – szarpnął mocniej, wyrwał ze snu.

– Co, wybieramy? – Oczy miał już duże, pałające.

– Nie, ale chodź.

Niechętnie wyluskiwał się z pościeli. Ciężkie, twarde ciało nie chciało należeć do jawy. Ciążyło. Guzdrał się i denerwował. Czego chce ta ciamajda w środku nocy. Od początku rejsu mają ze sobą na pieńku. Wyzywa go od ostatnich. Po co takie kalectwo pcha się na morze. I siebie morduje, i innych. Umiera, ale idzie.

Narzucił kufajkę, wylazł na pokład, usiadł obok niego.

– No, czego chcesz – głos głuchy i ciężki.

– Juluś – szepnął i długa rozcapierzona ręka wbiła się w niebo. – Tam nas nie chcą. Nikt nas nie chce, morze także.

– I ja ciebie nie chcę – wyszeptał Julek dusząc się gniewem. – Czekasz na pieczone gołąbki? Won ode mnie. – Splunął i zaciskając pięści ruszył do kubryku.

– Juluś – szepnął doganiając go i łapiąc za ramię – Jeszcze słowo...

– Precz – syknął Julek, odwrócił się, i jego obie, już otwarte dłonie, odepchnęły go od siebie.

Zachwiał się, zawadził o stalówkę, runął na pokład. Kiedy odjął ręce od twarzy, dostrzegł na nich krew. Sączyła się z nosa małymi kroplami i padając na szklany pływak, tworzyła zadziwiające gwiazdozbiory.

Świt zastał ich siedzących obok siebie, milczących i patrzących wilkiem. Ale w środku już uśmiechali się, do siebie, już spod oka zerkali na niebo...

Cyrograf

Robak był duży i odrażający. Krwista jego powłoka raziła oczy. Bezustannie wiercił się wkoło, jakby czegoś szukał, ale niczego nie mógł zobaczyć – był bez oczu. Najbystrzejszy wzrok nie zdałby się na nic. Dokoła kłębił się mrok, tylko on stał w jasnym. Nagle spostrzegł, że on sam jest tym robakiem. Zaczął tłuc w swoje ściany, całym sobą, pięściami, szarpać zębami, zalewała go krew. Czuł smak żółci i soli. Śliska skóra robaka. Zrobiło mu się słabo, gardło wzduło się, zapulsowało. Musi się pozbyć tej skóry za wszelką cenę. Zdziera z siebie wszystko, drapie do krwi, rzuca się z boku na bok. Pomaga mu w tym sztormowa fala, przewalająca się przez statek jak plaga szarańczy. Jedna z fal wyrzuca śpiącego z koi. Całym ciałem uderza w przeciwny szot, serce w diabelskim trzepocie. Następny przechył wciska go w kąt. Wkleszcza palce w otwarte drzwi szafki. Zaklął, i to ciężkie przekleństwo umieściło go w czasie. Żołądek znów podpłynął do gardła, zachwiał nim, wyrzucił z siebie wszystko. Gorycz i ohyda. Spojrzał na zegarek. Spał zaledwie dziesięć minut. Dziesięć minut na dwie doby. Trzecia noc w sztormie.

Przemógł się, narzucił ciuchy. Nie mógł dłużej zostać w kabinie. Dławił się. Objął dłońmi ciężącą głowę. W środku diabelski kocioł, na zewnątrz przekrwione oczy, twarz w gęstych zmarszczkach. Wątle i kruche ciało. Czego broni to chuchro i czego szuka pętając się po świetle? Gdzie ta ziemia, do której płynie? Nie ma, dokoła morze w mroku, w odwiecznym sporze z sobą, uporczywie wertujące każdą swoją falę.

– Wyleciałeś? – zapytał ten z dolnej koi. – Spałeś, a ja nie mogę. I boję się.

– Czego się boisz?

– Tonąłem. Szliśmy bokiem do fali. I nadbiegła taka jedna, przyschła, druga poprawiła. I kłapa. Ledwie wyszliśmy z tego szamba. A tu noc, fala, zadymka. W dzień się nie boję, tylko w nocy. Każdy przechył, rozumiesz, chwyta za serce. I żołądek robi się twardy, bez przerwy ćmi. Całe szczęście, że nie rzygam. A ty zawsze tak z tym żołądkiem?

– Tak, nie mogę przemóc.

– Ja kiedyś też tak. Ale przeszło. Schlałem się któregoś dnia na wyjście i trafiliśmy w sztorm. Myślałem, że kopnę w kalendarz. Od tego czasu jak ręką odjął.

– Wszystkiego już próbowałem.

– Któregoś dnia minie, ani się spostrzeżesz. A po prawdzie Stary mógłby posztormować trochę, a nie gnać na złamanie karku. Kawał ścierwa z niego. Też zdycha w sztormach.

Nadbiegła większa fala, opłotła statek, zanuciła głucho i rozprysła się. Wiatr poniosł w dal jej lodowate okruchy. Statek zatrzymał się na chwilę, legł na burcie, śruba wychylona z wody zatrzęsła nim jak malaria.

– Widzisz – szepnął ten z dolnej koi. – Aż mi serce stanęło. Wtedy też tak było. A ty musisz pływać? – zapytał po chwili.

– Muszę.

– Ja też. Przez to mnie rzuciła. Ale co tam baba. Nie rozumie jedna z drugą, że człowieka ciągnie. Diabeł wie gdzie, ale gna. Z tobą też tak?

– Też.

– Tym dobrze, których nie ciągnie. Chcą – pływają, nie chcą – siedzą w pieleszach. A my jak skazańcy. I co z tego mamy – figę z makiem. Po takim sztormie musisz się urządzić. I znowu zaczniesz od zera.

– A co można mieć?

– To prawda. Nic. Idziesz już?

Nie odpowiedział. Wyszedł. Słabość wypełzła z żołądka. Macki dopełzły do stóp, cofnęły się, polazły do gardła. Wybiegł na rufę, na zawietrzną, przylgnął do zimnej nadbudówki i zaczął wypluwać siebie. Kiedy nie pozostało w nim nic oprócz żółci, wdrapał się na pokład szalupowy. Tam przylgnął do zwojów starych cum, skurczył się, skulił.

Odnalazł go ten z dolnej koi. Wyrwał ze snu.
– Wstawaj, czas na naszą wachtę. – Był radosny, bo wstawał dzień.
– Nie pójdę – jęknął. – Nie mogę.
– Możesz, możesz – rzekł wesoło i pociągnął za sobą. – Musisz podpisać cyrograf. Idziemy.
Sztorm szalał jeszcze cztery doby.

Ahaswer

Fale rwały się i marzły na pokładzie. Lód błękitniał od księżycy i kuter przypominał obnażone zwłoki. Stał w rozkroku, a dłonie ścisnęły szprychy steru. Pilnie obserwował morze, ale przeoczył jedną falę. Była wyższa niż inne i uderzyła z boku. Kuter nabrał wody i z trudem wyrównał przechył. Szyper wypadł z koi, wszedł do sterówki i odepchnął go od steru.

Usiadł na gretingu, oparł plecy o bakistę i przyknuł oczy. Wniknął w siebie. Zastał tam pustkę. Starał się przypomnieć sobie, czy istniało tam kiedyś cokolwiek, lecz pamięć zawodziła. I nagle odczuł jakiś szczególny smutek. Zagryzł wargi, a kiedy poczuł smak krwi, ogarnęła go złość. Wstał i znowu chwycił za ster.

Szyper błysnął przekrwionymi białkami, potem włączył wirującą szybę i wbił wzrok w rozkołysany horyzont. Morze rosło, pełzło, potworniało.

– Uważaj, widzisz co się dzieje – splunął i poszedł do siebie.

– Nie marudź, śpij.

Morze dostawało obłędu, a on przez sześć godzin nie oddał nikomu steru. Chcieli go zmienić ci z dziobu, ale on nie zmniejszył szybkości, więc nie mogli dostać się do sterówki. Przez ostatnie dwie doby był na nogach, czuł zmęczenie, kiedy ogarniała go senność, uchylał szybę i lodowate strugi wody przywracały świadomość.

W porcie czuł każdą cząstkę ciała, i każda była gorąca i ciężka. I myśli były gorące, niecierpliwie. Chciał upaść, otulić się snem, ogrzać drugiego człowieka. Nie poszedł do domu. Ogołił się i pojechał do knajpy... Kelner posadził go przy narożnym stoliku. Siedziała przy nim samotna kobieta.

– Napij się ze mną – poprosił – sam nie umiem.

– Spróbuję – kiwnęła głową.

Muzyka, półmrok, koniak, dym. Mrowi się wszystko, skręca, ciągnie, odraża. Tam, wewnątrz, wschodzi słońce, wpełza do żył, dotykał serca. A tu smutek. Kobieta pochyła się nad stolikiem.

– Kot – szepcze – przepadł.

– Kot – powtarza cicho i pije raz po raz. – Kot? – dziwi się. – Zderzenie światów – myśli głośno. W głowie kolebie się, dwoi, troi, dziesiątkuje. Serce rozmawia z piersią. Diabeł wie o czym, może o nim samym. Bezkres. Noc. Nagle odnalazł świat. Zobaczył kobietę. Ile godzin, dni, lat. W nim to było, czy w niej. Zmarszczył brwi, pomyślał. Tak, to ona. Jedyna.

– Ciągłe myślisz o tym kocie? – pyta.

– Tak – smutne kiwnięcie głową.

Muzyka zamiera, gasną główne światła, pustoszeje. Ale nie w nim. Tam znowu chwiejnie, męcząco. Jak kilka godzin temu, za sterem. Nawołuje, stawia orkiestrze, alfonsom, dziwkom. Bierze gitarę i śpiewa. Głos ma głęboki, niepowtarzalny. Śpiewa o morzu, które go tu przygnało i które go stąd zabierze. I będzie gonić bez przerwy. Nie spocznie ani chwili, jak Ahaswer. Takie jest morze, a on mu zawierzył.

Wypił jeszcze jednego, wziął kobietę za rękę. Wyszli. Nie znał jej i nigdy do niej nie wróci. Nie zapomni tylko o kocie...

Szansa

Było zimno, morze przypominało twarz olbrzyma z głębokimi zmarszczkami, drżącą i posepną. Chmury wlokły się nisko, mozolnie. Woda marzła na pokładzie, ludzie patroszący dorsze obrastali warstwą lodu. Twarze czerwone, ścięte mrozem, ręce powalane krwią i rybimi odchodami. Dorsze były duże, od patroszenia puchły ręce. Z każdym holem około trzydziestu skrzynek, akurat tyle, aby uprzątnąć je z pokładu w czasie trału. Kiedy uporali się z ostatnim holem, włązili do kubryku, zrzucali cuchnące ciuchy i bajcowali w piecu. W kubryku było ciepło, przytulnie, a po ciężkiej harówce sen przychodził szybko.

Tylko Stary kłął na czym świat stoi. W jego kabinie było chłodno, a noc długa. Okutany w koce i kozuch spał najwyżej trzy godziny, a potem nie mógł leżeć spokojnie. Mróz pełził w kierunku serca. Wstawał, szedł do kubryku na dziób, zaparzał herbatę i pijąc cieszył się, że już niedługo to się skończy. Jeszcze w tym miesiącu dostanie nowy kuter. Piętnaście lat na jednej łajbie – to chyba dosyć. Od początku szyprowania namęczyli się ze sobą dosyć, zalali sadła za skórę. Znali się jak stare konie ciągnące jeden wóz. Razem się buntowali, razem pokornieli. Odgadywali swoje myśli i nie zawodzili w potrzebie. Ale wszystko ma swój kres. Stary nie czuł żalu, ale coś w rodzaju uczucia przy pożegnaniu przyjaciela płynącego na inne łowisko. Ilu ludzi przewinęło się przez ten pokład i kubryk. Wielu z nich dowodzi już nowymi kutrami, a on tkwi tu jak kołek w płocie. Nie miał do nikogo żalu. Dawali mu nową jednostkę. Dawno, parę lat temu. Odmówił. Nie pozwalało serce. Ale teraz koniec z tym. Żadne tam serce...

Od dwóch dni psuła się pogoda, ale pod wieczór ucichło, zajaśniał przestwór nieba gwiazdnymi szlakami i Stary uwierzył, że wreszcie nastanie spokój. Jednak po północy znowu obudziło się zło, a po wschodzie słońca wiatr nabrał mocy. Przyszedł kolejny sztorm. Zimny i krwiożerczy. Szedł jak Kościej i rwał wszystko, ciskając na prawo i lewo, w górę i w dół. Chwiało się morze, kutry, rybacy. Bolało zmęczone, potłuczone ciało, bolały kości, cierpły myśli, rwały się słowa. Upadali i natychmiast się podnosili. Podnosili i siebie, i słońce. Wszystko można było im zabrać, prócz chęci utrzymania się na nogach i hardości.

Płynęli do portu bokiem do fali, i Stary nie oddał nikomu steru. W czasie sztormu kuter należał do niego. Czuwał nad nim i chronił od złego. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, że od tej skorupki zależy jego życie, myślał nawet, że jest odwrotnie. W sterówce przeważnie był sam. Zaciskając dłonie na sterze, urągał nadbiegającym falom, drwił z nich i czuł ulgę.

W porannym komunikacie podali ósemkę, a wiatr się ciągle wzmaczał. Morze dostawało obłędu, narzucało na siebie białą i potarganą włosienicę. Malało i rosło w nieskończoność. Stary doznał dojmującego uczucia. Wydało mu się, że on i kuter są nierozdzielną jednością. I że tak było zawsze. Teraz nie kuter, ale on otrzepywał z siebie falę, czuł ciężar wody marznącej na wantach i burtach i ochraniał jak mógł swoje czułe miejsca.

Do portu jak ręką sięgnąć, ale te parę godzin wlokło się w nieskończoność. Zobaczywszy ląd, Stary poczuł się jak Abraham na łożu śmierci.

Wejście było wąskie i przy wysokiej fali z northwestu zawijanie do portu było ryzykiem. Myśląc o tym, jeszcze mocniej zrósł się z kutrem. Skupił się.

– Daję ci szansę – mruknął – pamiętaj – i ruszył przed siebie.

Kuter runął w kipiel, otrząsnął się, zaskrzypiał i wyskoczył. Nadbiegająca fala zagarnęła go mocniej. Stary trwał w przechyle patrząc w przepaść własnego grobu i jakaś wewnętrzna siła odrzuciła go od tego widoku. Ale nowa fala runęła na sterówkę. Zrobiło się ciemno jak w jaskini i ciasno. A potem stało się tak, jak w dniu, gdy pierwszy promień błysnął nad wodami. Stary dostrzegł światło i poczuł w ustach smak krwi. Następna fala wepchnęła go do portu.

Kiedy przycumowali, wyskoczył na nabrzeże i długo, długo patrzył na tę starą, pogiętą i odra-paną łajbę.

– A niechże cię krew zaleje – szepnął, potem uśmiechnął się i poszedł do serwisu odmówić przyjęcia nowej jednostki.

Zapis sondy

Popatrzył na zapis sondy i splunął. Morze było j puste. W promieniu pięćdziesięciu mil nie było ryby. Tylko ludzie i statki. Telepali się na tych zimnych wodach, z falą i pod falę, i bokiem. Nocą i dniem. Od trzech miesięcy nie widzieli słońca. Czuli tylko swój ciężar. Podnosili go z koi i nieśli na pokład. Tam się zmniejszał. Pochłaniało go morze i ryba. Lecz ryba znikła. A morze bez ryby nie jest ich morzem. Dlatego kleli, boczyli się na siebie i wywlekali brudy. Nie mogli znaleźć sobie miejsca. I oni, i statek gnali w wodne przepaście. Nic stałego i pewnego. Myśli takie ciężkie i ciemne. Spojrzenia chciwe, złowróżebne. Trzeba zapełnić te oczy. A ryby niej ma.

Morze parło z północy. Surowe i nieprzystępne. Przesiewające wszystko przez sito fal. Nikt nie był wolny od niego. Nie ma wybrańców. Wytrzymał dzisiaj, złamie się jutro. Blizna na bliźnie. Ale większość blizn niedostępnych dla oczu. I same przysychają. A fale niebosiężne ze śnieżnymi lawinami. Następujące po sobie, jak ogniwo za ogniwem. Nad nimi wiatr, chłód, kołtuny mgły.

Ryby nie ma. Zjadł już pół wątroby, teraz wylewa żółć. Rozgląda się, węszy. Patrzą na niego i milkną. W duchu ślą go do diabła. Czyta to z oczu. Nienawidzi i siebie, i morza, wszystkich dokoła. A przecież dobrowolnie, nawet z radością, włożył na siebie to jarzmo. Jego sprawą jest złapać rybę. Zalewa go krew. Podpisałby pakt nawet z diabłem, przemieniłby się sam w ławicę ryb, byle rozjaśnić im gęby, zapełnić ładownie. Nie pomoże mu ani Bóg, ani diabeł. Może liczyć tylko na siebie. Wie o tym, a jednak naprzykrza się wszystkim patronom. Szuka Jonasza na pokładzie. Nie może znaleźć. Każdy z nich jest Jonaszem. On też nosi zafajdane gacie. Siebie należałoby zepchnąć do wody.

– Zbroić nowy włók – rzuca przez okno.

– Sieć jest cacy – mruczy bosman. – Wszystko mierzone. Własnoręcznie. Do milimetra. Włoka się nie ma co czepiać.

– A kogo?

– Tego nie wiem - odpowiada i potrząsa kwadratem barów.

– Zbroić i nie mędzić.

Wie, że włók jest w porządku. Ale muszą coś robić. Niech się duszą i dławią, jak on. Klną na głos. Tak lżej. Im i jemu. Nieraz ściska się serce. Od tej harowy wydłużyły się ręce, sięgają ziemi. Jak u goryli. On ma też takie. Nieraz współczują mu, ale nie słowami. I jeszcze to morze, rozbełtane od krańca do krańca. Nie dające się kupić ani przekupić.

Drugi i trzeci włók też nie Chapman ryby. Ani tego dnia, ani piątego. Coś tam jest. Barachło i drobnica. Ani radość, ani chleb. Kpina i drwina. Nie śpi i nie je. Papieros za papierosem. Coraz więcej siwizny i zmarszczek. Zapomniał już o ziemi, jakby się na niej nie urodził. Dla kogo tak żyły wyprawa? Nie ma nikogo bliskiego. Może dla tych z pokładu. Nie. Dla siebie. Czeka na dzień, kiedy statek będzie fułi. poczuje się wtedy jak Syzyf schodzący z góry po kamień. To mu wystarcza. Nie odsypia. Tkwi nadal w oknie. Ale nie patrzy na morze, tylko na niebo.

Bosman traci cierpliwość. Wszystkie sieci uzbroidł i rozbroidł. I wszystko na nic. Trzeba zacząć od początku. Nie czuje już rąk.

– To nie bilard kieszonkowy! – drze się. Trzeba ryby łapać, a nie wodę branzłować. Nie wygrałem kości na loterii. Tobie co, siedzisz w sterówce i gwizdziesz. Na tobie woda nie marznie.

– Daj spokój – szarpia i odciągają bosmana.

– Nie dam! – wyrywa się i zaciska pięści. Nie chcę z nim miru. Chciał być koniem, niech ciągnie. Tak jak my.

– Robi co może. Nie widzisz?

– A widzę, widzę – bosman spluwa i szarpie porwaną sieć. – Ładna robota. Tip top. Jeśli to tylko umie, niech mydli sznurek. Łatwiej się zaciśnie.

Słucha i milczy. Wie, że będzie tak dopóty, dopóki ryba nie sypnie na pokład. Rzuca się na nią jak wilki. Zaświecą ślepiami i gębą. Ale po trzech, czterech dniach ryba zbrzydnie. Zaczną psioczyć na nią. Potem znowu na niego.

– Niepotrzebnie bosman się drze – mówi drugi.

– A niech tam skowyczy – kiwa szyper głową. – Ja też tak kiedyś się darłem. Przyjdzie czas – zaśpiewa inaczej. Za kilka lat zacznie sam szukać ryb.

– A może nie zechce.

– Tego każdy chce. Ryba to siła. Szukaliby jej nawet wtedy, gdyby nie istniała. – Zmarszczył brwi, podszedł do sondy i zaczął śledzić jej zapis.

Seeklar

Seeklar. Wszystko umocowane i na swoim miejscu. Zmyto łuski, zaschła krew. Zaklinowano luki. Ludzie wylegają się w kojach. Wachta tylko na sterze i w maszynie. Pokład jak opustoszały dziedziniec więzienny. I on czuje się, jakby wyszedł na wolność. Czeka zawsze na ten dzień, obiecuje sobie złote góry, a kiedy nadchodzi, czuje się jak okradziony. Tylko na morze patrzy inaczej. Jak pierwszy raz, kiedy go nie znał. W niepamięć zapadają nieprzespane noce, bezrybia, mgły i sztormy. Nie było przekleństw i kłótni. Gdyby mógł, wykonałby zwrot na łowisko i zaczął od nowa. Ale nie może. Musi zdać i rybę. Ludzie muszą odetchnąć. A może są tacy jak on? Podobni na pewno. Inaczej by nie pływali. Nie dla mamony poszli na wodę. Nawet diabeł nie wie dlaczego. Oni także. Po miesiącu na morzu czują się źle, na lądzie jeszcze gorzej., Toczy ich ten rak. Wykrzywia. Nie pasują do niczego. Garb na garbie. Lecz gdyby ktoś chciał im wyciągnąć ten nowotwór, plunęliby w twarz, Wszystko, tylko nie to.

– Gdyby Pawła nie zmyło – odezwał się oficer wachtowy – rejs byłby udany. Szło nam lepiej niż innym.

– Ale zmyło – mruknął Stary nie odrywając oczu od szyby sterówki.

– Po co pchał się na ten bak. Coś mu tam zawsze stuknęło i nie dawało spać. Pokład był obłożony. Pośliznął się i do widzenia. Szukaj wiatru w polu. Na dodatek noc i fala. Szkoda chłopca.

– Żal. Dobry był matros, choć, inni narzekali na niego.

– Zrobiliśmy, co było w mocy. Szukaliśmy do rana.

– Wszystko gadanie – Stary oderwał się od szyby i włączył sondę. Z uwagą wpatrywał się w ekran. – Ale zapis – rzekł po chwili. – Ryba stoi jak ściana.

– Może jakieś barachło.

– Żadne barachło. Sypnęłoby rybą jak złoto. Ale biednemu zawsze wiatr w oczy. – Wyłączył sondę, poszedł do siebie. Rzucił się na koję i starał się zasnąć. Nie mógł. Z ostu szła martwa fala. Statek kładł się na burty. W kabinie wszystko skrzypiało. Wibracja trzęsła szotami. Tłukły o siebie jak kołatki. Przedtem nie słyszał tego. Teraz wszystko włąziło w niego jak zardzewiałe gwoździe. Zaczął utykać szczeliny w szotach. Zdało się to psu na budę. Uszczelni w jednym miejscu, zaczyna tłuc w drugim. I jeszcze te natrętne myśli o Pawle. W każdym rejsie tonie człowiek. Nie z jego winy, ale ginie. Czarna plama na nim i na statku. I jacy ludzie. Usłyszał pukanie do drzwi. Wszedł bosman. Stał w rozkroku. Zaświecił błękitem oczu i skrawkiem czoła. Reszta w czerni zarostu.

– Czego chcesz?

– Nie będę owijał w bawełnę – bosman wyprostował dłonie. – Butelczyny. Mam jeszcze dwie prastare, ale nie chcę pić tego świństwa. Chyba że nie dasz.

– Siadaj – Stary wyciągnął butelkę z barku. – Wypijemy tu po jednym, w kubryku nie można.

Ucieszyła go ta wizyta. Lubił bosmana. Razem zaczynali rybałkę. Jeszcze na pokracznych „Hilarach” i „Januarach”.

– Co cię tak gryzie? – stuknęli się kieliszkami.

– Niby nic, a ssie w dołku. Zawsze jak płyniemy do domu. Czeka człowiek i czeka, a potem jakby kto w pysk dał.

– U mnie to samo, cholera. Aż obrzydzenie bierze.

Pili dalej w milczeniu. Kieliszek za kieliszkiem. Pot wystąpił na czoło. Rozjarzyły się oczy. W głowie kłębowisko myśli. Brak ochoty, by ubrać je w słowa.

– Wiesz co – odzywa się bosman – pomówmy o przyszłym rejsie. Bo tak siedzimy jak kamienie.

– Masz rację – ucieszył się Stary. – To jest myśl.

Wrócili na łowiska. Znowu szukali ryby i trałowali. Płynęli coraz dalej i dalej.

Martwa fala wyrzuciła ich z foteli, a druga butelka zagnała w sen.

Miejsce na rufie

Lubił łowić w sztormach i początkowo mówił o tym otwarcie. Obrzucali go za to przekleństwami i patrzyli wilkiem. Kiedy trałowali bokiem do fali, a pokład zavalony był rybą, mieszało wszystko z błotem i grozili sterówce. On jeden nie klął, ale marszczył brwi i przenikliwie wpatrywał się w morze. Dostrzegali to i pytali, co tam chce zobaczyć. Nie odpowiadał, co miał mówić, jeśli sam nie wiedział, czego szuka. Bo cóż można znaleźć w morzu prócz ryby i niepewności? Może nie wierzył, że tylko to się tam kryje? A może chodziło mu o coś zupełnie innego. Jeden uderzył go nawet na odlew, a potem chwycił za nóż. Chlusnęli mu wodą w twarz. Opamiętał się i zamilkł. Ale gniew nie wykipiał z niego.

Kiedy kończyli pracę, włąził do koi i zasuwali zasłony. Chcieli być sami, ale nie znajdowali spokoju i jeszcze mocniej męczyli się sobą. Kubryk chwiało się i skrzypiał, sen w nim był majakiem albo ciemną przepaścią. Co mieli robić przy takiej pogodzie, kiedy nie było ryby na pokładzie, a wszystko gnało precz i ciągnęło za sobą. Co robić, kiedy nie można leżeć ani dobrze stać. I tak turlali się w sobie i w koi, czekali na następny hol, na tę przeklętą rybę, która potrafi wypruć z nich flaki i zmusić do wszystkiego.

On nie włąził do koi. Wędrował na rufę i siadał tam na skrzyni opierając głowę na otwartych dłoniach. Patrzył i płynął razem z morzem. Od wielu lat. Był taki jak ono – pocięty zmarszczkami, stary i pełen niepokoju. Targany zwątpieniem, którego ono nie znało. Żyły w nim tylko ryby, które łowił. Na początku, kiedy patroszył ryby, a krew bryzgała na ręce i twarz, czuł odrazę i niczego nie rozumiał. Potem też nie rozumiał, ale nie czuł odrazy i było jeszcze gorzej. Morze z dnia na dzień stawało się inne. Długie pływanie nie dało mu nic, po prostu przywykł do niego. Stało się jeszcze bardziej nieznane niż w dniu, kiedy po raz pierwszy postawił stopę na pokładzie. Chyba dlatego że wtedy był młody i wydawało mu się, że mógłby przyciągnąć rękami niebo ku ziemi. Teraz nie posiadał już niczego. Nie, tkwiło w nim jeszcze coś, czego nie mógł określić, a co kazało mu żyć i pracować, i wielbić sztormy. Kochał to, co podcinało mu nogi, aby mógł się podnosić. Wstając widział wszystko inaczej, ale na pewno był to omam.

Któregoś dnia podszedł do niego kapitan. Zapytał, dlaczego przesiaduje na rufie. Jest przecież zimno i mokro, w jego wieku powinien więcej dbać o siebie. Koją jest zawsze koją.

– Tu lepiej – odrzekł i pokazał mu wypłowiały turkus swoich oczu. – Bliżej siebie.

– Jeżeli tak, to siedź sobie. Uważaj tylko, by nie chapnęła cię fala. Ona nie uśnie, a ty możesz.

Patrzył już na morze i nie odpowiedział. Nigdy nie przywiązywał wagi do słów, dlatego chyba tak mocno pokochał ryby i bał się ziemi. Na łądzie zawsze pił i niewiele zostawało mu w pamięci. Na pewno nic szczególnego się tam nie działo, jeśli tak szybko zapominał.

Ryby nie szły i rejs się przedłużał. Coraz bardziej stawali się sobie obcy. Łączył ich tylko statek i praca. I to zaczęło ciążyć. Ten, co uderzył na odlew, zaczął go nienawidzić. Sam nic nie wiedział dlaczego. Zachowywał się tak dziwnie i nie odpowiadał na pytania. Nie, nie dlatego..

Kiedy trzymał nocną wachtę kotwicznicy i usiadł, jak zwykle na rufie, zapatrzony w mrok morza, tamten podszedł do niego,

– Chcesz mnie żywego wpędzić do grobu? Wykończysz mnie tym patrzyeniem, ty sukinsynu – powiedział z wściekłością, podniósł go i chcąc zepchnąć za burzę, potknął się i usiadł na jego miejscu.

– Nie! – krzyknął. – Nie odchodź – szepnął kiedy stary ruszył do kubryku. Ale on nie oglądnął się i nie odpowiedział.

Kapitan

Nie zmrużył oka przez całą noc. Każdy przechył statku poruszał ciałem i wzmagął ból, a sztormowali już drugi dzień. Nie pomagały tabletki i koniak. Ból był ostry, chwilami odbierał świadomość.

Od dawna czuł się źle i wiedział dlaczego, a od paru miesięcy mógł wyczuć palcami to ścierwo, z prawej strony poniżej klatki piersiowej. Nie przyznawał się do tego. Zdjęliby go i umieścili w szpitalu, a ratunku nie było. Chciał do końca zostać na statku. Tu czuł się najlepiej. Jego związek z ziemią był bardzo kruchy, nie potrafiła ofiarować mu niczego, więc traktował ją jak przygodną kobietę. Śmierci się nie bał. Ostatecznie, życie straciłoby sens, gdyby nie istniał kres. Ale rozumiał ludzi, którzy się jej boją. On też jej nie chciał, ale traktował ją jak nadchodzący sztorm, przed którym nie ma schronienia.

Rano poczuł się lepiej, ból nie ustąpił, stał się tylko głuchy i mniej dokuczliwy. Oparł się o szot i obłożył poduszką i kocem. Ostra, wyschnięta twarz obciągnięta była woskową skórą. Ożywiała ją blizna biegnąca przez policzek czerwoną wstęgą i oczy - niespokojne, pałające i nienaturalnie duże, jakby widziały w ciemności.

Otarł pot z czoła, zerknął w bulaj. Wschód wiatr niósł śnieżne zadymki. Ich szare zasłony wiły się po horyzoncie. Wysokie fale nadbiegały z szumem i łoskotem, zmieniały kolor i rzucały się w przepaść. Statek leciał z nimi, ale nie nabierał wody. Wpływał na następną, w skrzypie i przechyłał na jedną z burt. Statek przechylał się na jedną burtę, a ludzie na drugą, starając się utrzymać równowagę, ale nie każdemu to się udawało. I dlatego wszystko w nich było potłuczone.

Wstał, aby pójść na mostek, jak robił to od lat, ale zakręciło mu się w głowie. Usiadł w fotelu i poczuł taką słabość, taką niezwykłą i przerażającą obcość ciała i bliskość otaczającego go morza, że zamknął oczy.

– Nie – szepnął po chwili i zwilżył suche pogryzione usta. – Trzeba żyć póki trwa sztorm. Nie teraz, potem... – Instynktownie sięgnął po butelkę, zakrztusił się pierwszym łykiem. Alko hoł miał smak roztopionego, ale zimnego metalu. – I na koniak już za późno. – Zawładną nim żal, nie, nie żal, ale dziwny smutek. A potem pomyślał, że nic nadzwyczajnego się nit dzieje. Trzeba żyć dalej tak, jak się żyło. I trzeba czekać, aż się wszystko wyjaśni. Wszystko w swoim czasie.

Położył się znów do koi i dmuchnął w tubę. Zgłosił się oficer wachtowy.

– Jak tam prognoza? – zapytał.

– Bez zmian, kapitanie – odpowiedział chief. – Sześć do ośmiu i kierunek ten sam. Myślę, że po obiedzie ucichnie. Mam mewie kości.

– Dobrze, ale uważaj, a po wachcie przyjdź do mnie.

Po raz pierwszy powiedział mu „ty” i nie zauważył tego. Zamknął oczy i starał się nie myśleć, jednak obrazy same nawiedzały oczy. Pomyślał o chiefe. On obejmie po nim dowództwo. Patrzył na niego i czuł się spokojny. Pływali razem osiem lat. – Da sobie radę – mruknął. – Rozumie morze i zna statek. Ja nie rozumiałem tak jak on i często błądziłem. I nieraz odczuwałem strach. Ale kto nie odczuwa niepokoju patrząc na morze i niebo. – Wbrew woli pomyślał o domu. Czy kochał kobietę, która była mu żoną? Kiedyś tak. Nigdy nie chciała tego, czego on pragnął, a on miał za mało czasu, aby pójść tam, gdzie go ciągnęła. Było mu wstyd, że się okłamywali. Teraz już za późno, by to powiedzieć. Spróbował jeszcze raz się napić. Udało mu się przełknąć dwa łyki i odetchnął. Nie zakrztusił się, ale nie poczuł smaku. W tym momencie statek przechylił się mocniej niż zwykle. Całym ciałem uderzył o szot. Poczuł ostry ból i zobaczył zieleń nadbiegającej fali.

Nie słyszał jak chief puka do drzwi i wchodzi bez zaproszenia, zajęty był szalejącym sztormem.

Chief dotknął ręki i czoła, zamknął mu oczy. Znał jego tajemnicę i wiedział, że kiedyś tak się stanie.

– I tak zostałem kapitanem – pomyślał ze smutkiem, złapał się uchwyty buła j a i przechylając się ze statkiem, długo, przenikliwie patrzył na rozszalałe morze. – Płyniemy po innych wodach, ale do jednego celu – szepnął i wrócił na mostek, aby dokonać zapisu w dzienniku okrętowym...

Ostatni rejs

Wracali z półrocznego rejsu. Z burzliwych i ponurych wód pełnych mgły i lodów. Arktyka pluła na nich northeastem. Hieroglify fal otulały burty, lecz od tysięcy lat nikt nie starał się ich odczytać. Nieśmiały promyk słońca rozwiewał ołów chmur. Przez postrzępioną szczelinę wyrwała się świetlista strużka i nie sięgając wody zgasła. Zwiewne zasłony kapuśniaczku kołysały się na wietrze. Dziko i nieprzytulnie, jak w drugim dniu stworzenia świata.

Starszy rybak zdał wachtę przy sterze i zszedł do mesy. Usiadł obok bosmana i kucharza, zwinne palce zatańczyły sambę. Uśmiechnął się do kogoś niewidocznego i zapalił. Poprzez dym papierosa spojrzął na bosmana.

– Ostatni rejsik odwalamy, bosmanie.

– Co komu do domu, jak chata nie jego – mruknął bosman i zagryzł wargi.

– Żebyś to ja był na twoim miejscu. Ech, pohulałbym, bracie. A tak! Zaczynasz czuć smak, to wyganiają cię, braciszku złoty, na morza. Na sto lat. I wszystko diabli biorą.

– Zawsze stękasz – odezwał się kucharz patrząc w bulaj, daleko, za roztańczony horyzont. – A to sio, a to tamto. Brak tego i owego. Wszystkiego ci mało.

– I tak ma być – odrzekł starszy rybak i zaświecił perłami zębów. – A co, głowę pod skrzydełko – spojrzął na bosmana. – Gdybym ja był na twoim miejscu – powtórzył i marzycielskie nuty rozkołysały słowa na podobieństwo fali – sprawiłbym sobie siedem garniturów, siedem bab i siedem wódeczności. Na każdy dzień wszystko nowe. Jak u Boga. Piłbym i rznąłbym do samej duszy.

Plół jeszcze o babach, muzyce i łopacie, która tak czy inaczej odnajdzie i przyklepie. Kucharz nawykowo lizał lewy kciuk, pukał się w czoło i nie odchodził.

Bosman nie słuchał. Brwi nastroszyły się, zmarszczki pogłębiły. Myśli szukały prostej drogi. Wszystko ginęło w zaułkach kończącego się rejsu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to jego ostatni rejs. Morze gasło, umierał wiatr. Ale odejść nie miał dokąd. Na ziemi nikt nigdy na niego nie czekał. Nikt nie odnalazł go. W porcie szalał z nadmiaru czasu, pił na umór i brał dziewczyny na jedną noc, oddając im wszystko co posiadał. I znowu wracał na morze. Odprowadzały go na statek, a on całował je spieczonymi wargami i darł się na cały głos:

– Jestem synem czarta! Byłem już w raj. Teraz popłynę dalej. Jest chyba inne nieb oprócz tego smutniaka!

Dopłynął do dnia dzisiejszego i nie znale nieba. Poczul gorzki smak w ustach.

– Ech, kurwa – powiedział głośno i zgrzytnął zębami.

– Co, co – kucharz popatrzył na bosmana niewidzącymi oczami i potrząsnął głową.

– Jak to co – ozdabiając twarz uśmiechem rzekł starszy rybak – ziemia, bracie, dziewczyny...

– Tak, ziemia – mruknął bosman i poszedł do siebie. Położył się w koi i zaczął dumać. Potem pił koniak, myślał i patrzył w bulaj do samego wieczora. Kiedy twarz okryła się spokojem, ukradkiem wyszedł na rufę. Wiatr uderzył go w twarz i otulił kapuśniaczkiem. Morze grzmiało i pękało z nadmiaru siły. Chusta ciemności opadała na świat.

– Pogoda ekstra na taki rejs. Trudno wymarzyć lepszą – bosman pogroził niebu, przechylił się przez burtę i dał się nieść fali.

Rozbitek

Nie pamiętał kiedy i w jaki sposób został rozbitkiem. Wiedział tylko, że jest rybakiem i dlatego zмага się ze sztormem. Ale miał już dosyć tej diabelskiej chwiejby. Czuł, że jeśli nie zajmie się czymkolwiek, oszaleje.

Podniósł się i zjadł suchara, usadowił się przy otworze wyjściowym.

– Niewesoło wygląda – mruknął i z nienawiścią patrzył na morze. Chlusnęło mu w twarz. Potrząsnął głową i przetarł oczy. – Gadzina – szepnął.

Zawsze bał się samotności, szczególnie samotności na morzu. Spotkanie z nim sam na sam budziło przerażenie. Bez przerwy musiał czuwać, w każdej chwili stawało się inne. Inne, ale niezmiennie i niezwykle obce. Nie zdołał zbliżyć się do niego ani o cal, ale i przed nim nikt tego nie dokonał.

Na początku było ich trzech, ale jeden wyskoczył za burtę jeszcze pierwszego dnia. Stary i chudy, z kościstą suchą twarzą, żółtą, bez zarostu. Oczy miał ciągle przymknięte i otwierał je tylko w wyjątkowej potrzebie. Do końca pozostał cichy i skryty. Skacząc w nadbiegającą falę mruknął coś pod nosem. Było to jego ostatnie słowo. Nie zrozumiał. Może dobrze, że tak się stało.

Drugi zmarł w nocy z upływu krwi. Nie chciał się z nim rozstawać i nie zamknął mu powiek. Wyrzucił go trzeciego dnia. Nie miał balastu, aby obciążyć mu nogi, więc nie poszedł na dno od razu i przez pewien czas płynął obok tratwy.

– Udław się tym. trupem – powiedział wtedy na głos i z obrzydzeniem splunął.

Został sam i to go wytrąciło z równowagi. Pienił się. Groził opuchniętymi rękami. W końcu wyczerpał się, padł na wznak i usnął. Sen miał głęboki i twardy, bez widziadeł. Po obudzeniu zdziwił się, że nie śniły mu się ryby. Był to odwieczny jego sen. Poczytał to za zły znak. Przypomniał sobie klątwy i przestraszył się. Niejednokrotnie w gorączce bluźnił, ale nigdy na morze. Unikał tego zawsze, a przestrzegał od dnia, kiedy wypadł za burtę, a sztormowa fala rzuciła go z powrotem na statek. Nie zauważono tego wydarzenia. Przez dwa dni nie mógł wykrztusić z siebie słowa. Kiedy sztorm ucichł, opowiedział o tym wypadku. Nikt mu nie uwierzył. Nawet kpili. On patrząc na morze zaczął odczuwać niepokój.

Wiatr nie ucichł. Płynął setkami strumieni. Zimne kolory zawładnęły niebem. Niskie, białe i postrzępione na brzegach chmury pędziły na oślep i jeśli patrzyło się nieuważnie, myliło się je z grzywaczami. Wyższe chmury były szare i tworzyły szczelną i ruchomą kopułę. Słońce stało się żółtą plamą i jego jasność nie barwiła morza. Sztorm uciekał na southwest i za nim podążała tratwa. Fale doganiały ją, załamując się i zapadając. Wymykała się, spływając w białą kipieli i drżąc wspinała się na następny wał. Jedna z nich dosięgała burty i bryznęła do środka.

Szybko poluzował dryfkotwę i wyczerpał wodę. Rozejrzał się, ale niebo i morze były nadal pustynią.

Bez przerwy obserwował horyzont i marzył o śnie z ławicami ryb. Nie dostrzegł nic żywego, ani tego, ani następnego dnia.

Czuł już zmęczenie. Od niewygodnego siedzenia cierpły nogi, a ręce zaczęły ropieć, i kiedy tratwa spływała w przechyle po zboczu fali, mdlały od wysiłku. Położył się i rozprostował nogi. Leżąc z zamkniętymi oczami, czuł bolesne pulsowanie pokaleczonych dłoni. Chwilami hol stawał się nieznośny. Starał się myśleć o czymś wesołym i bliskim, ale nawet najśmieszniejsze wydarzenia nie budziły radości.

Przypomniał sobie, że w kieszeni bluzy roboczej nosił zawsze żyłkę z haczykiem. I rzeczywiście była tam, nawinięta na drewnianą kleszczkę. Złapie rybę, nareszcie coś żywego będzie miał przy sobie.

Zamiast przynęty zawiesił na hak wstążkę żółtego materiału wyrwanego z zrudwestki. Był to jego wypróbowany sposób. Tak łowił w fiordach, kiedy kryli się tam przed sztormem. Ołowiany ciężarek pociągnął w głąb. Widział przez chwilę, jak żółta tasiemka zapada w wodę.

Bez przerwy podrywał żyłkę i popuszczał, ryby albo nie chciały brać, albo była tam taka sama pustynia jak i na powierzchni. Był rybakiem, znał tajemnice swego zawodu, lecz zaczynał tracić cierpliwość.

Nigdy nie chciał być marynarzem, nie ciągnęła go dal i przestrzeń, ale głębia i ryby, które w niej żyją. Nieraz miał już dość tej harówki bez kresu, ale nigdy nie myślał o ucieczce.

Ryba wzięła pod wieczór. Wyczuł jej ciężar, a potem szarpnięcie. Był to stary i chudy czerniak, głowę miał zniekształconą i pełną białych blizn. Patrzył na niego jak urzeczony. Ale ryba była tak zmęczona jak on. Ruszyła parę razy ogonem, otworzyła pysk i znieruchomiła. Poczł żal, zagryzł wargi i rzucił haczyk. Obserwując żyłkę pomyślał, że każda ryba zdechnie, jeżeli wciągnie ją do tratwy. Ale przecież nie może jej holować na haku. Jest rybakiem, a ryba jest jego chlebem. Zgrzytnął zębami i zwątpił w istnienie związku między nim, rybą i morzem. Nie .ma, nie było i nie będzie. Jest samotny, dlatego znalazł się tu i dlatego płynie do ładu.

O świcie poczuł, że wypłynął z płyliny. Fale stały się łagodniejsze i nie załamywały się z takim hukiem. Ale niebo nadal było niskie, szare i ruchome jak mrowisko. A po wschodzie słońca wiatr zmienił kierunek i nabrał sił. On leżał z otwartymi oczami i widział sny, które śniły ryby czekając na niego.

Spis treści

Na łowisku
Klątwa
Fala
Kwiaty
Sztorm
Kapitański bal
Wigilia
Nocą
Blinda
Konstelacja Perseusza
Spotkanie
Ojciec i syn
Na półwyspie
Synowie marnotrawni
Rozmowa z księżycem
Psia wachta .
Biały kliper
W kawiarni
List z Halifaxu
Niebo nad głową
Karaluch
Dancing
Wachta
Cyrograf
Ahaswer
Szansa
Zapis sondy
Seeklar
Miejsce na rufie
Ostatni rejs
Kapitan
Rozbitek

Korekta: Anna Jęsiak